MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 38. WARSZAWA, 9 SIERPNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

NOWA KSIĄŻKA DMOWSKIEGO

Ludzie wielcy, a z siebie ruch urodzić zdolni,
Pośród min pękających chodzą najpowolniej.

Juljusz Słowacki: „Przypowieści i epigramaty".

PISARZE, omawiający działalność polityczną i twórczość publicystyczną Dmowskiego, popełniają naogół ważne przeoczenie: zapominają o Dmowskim. Monografja, szkic, artykuł o Dmowskim niepostrzeżenie, najpewniej wbrew intencjom autorów, od pierwszych zdań nieomal zamieniają się z reguły w wykład głównych zasad polityki polskiej, dzieje odbudowania Państwa Polskiego, historję przewrotu umysłowego w Polsce na przełomie w. XIX i XX i t. p. Nietrudno jest wskazać przyczynę takiej skłonności: myśl Dmowskiego jest istotnie tak niewzruszenie ścisła i rzeczowa, tak dalece pozbawiona pierwiastków egotyzmu, dowolności, kaprysu, że wydaje się czemś jakgdyby bezosobistem: widzi się w niej przedewszystkiem ukazanie rzeczywistego, objektywnie istniejącego układu stosunków politycznych, tudzież ukrytej w nim wewnętrznej jego logiki, podobnie jak w prawach i hypotezach przyrodniczych poszukuje się przedmiotowego wytłumaczenia zjawisk, nie zaś odzwierciadlenia indywidualności myśliciela, który je sformułował.

W tych warunkach nakreślenie wizerunku Romana Dmowskiego jest zadaniem i trudnem bardzo i nadzwyczaj nęcącem. Drobnym choćby przyczynkiem w tym względzie będzie może parę uwag poniższych, jakie — z tego stanowiska właśnie — nasuwają się przy czytaniu najnowszej, przed dwoma miesiącami ogłoszonej książki Dmowskiego: „Świat powojenny i Polska"[1]).

*

Wrażenie, które pierwsze bodaj narzuca się czytelnikowi „Świata powojennego i Polski", najlepiej chyba oddać można formułą sienkiewiczowską, że Dmowski „umie patrzeć generalnie". Nie jest to jedynie wynik wiedzy, głębokiej i wielostronnej, pozwalającej swobodnie sięgać do dziedziny historji i prehistorji, albo z rzadkiem u europejczyka obeznaniem z przedmiotem czynić uwagi na temat psychologji ludów azjatyckich. Gdy się wejrzy w rzecz dokładniej, wyjaśnienie nastręcza się bez trudu: Dmowski dlatego głównie zdolny jest widzieć zagadnienia polityczne w wielkich historycznych perspektywach, ponieważ horyzontu nie zasłaniają mu rzeczy małe a bliskie, ani też nie zwęża mu go zapatrzenie się w doraźne zadania taktyczne, na odcinek, na którym w tym momencie właśnie chwilowo toczy się walka.

Autor „Świata powojennego" niezaprzeczenie żywo odczuwa polską teraźniejszość, stwierdza np., że „jedna sprawa Brześcia odebrała na długi czas spokój każdemu, kto posiada choć trochę moralnej kultury" (str. 78). Rozumie wszakże, iż „to, co jest dzisiaj, jest dziełem pokolenia, wychowanego w niewoli", które „zaczyna już schodzić z pola, a na jego miejsce przychodzi pokolenie, wychowane już w niepodległej Polsce" (str. 316). I zdając sobie sprawę z tego, że „obraz polityczny Polski wkrótce będzie całkiem inny", niż obecnie, główny wysiłek badawczy kieruje ku zrozumieniu przyszłej roli i przyszłego stanowiska narodu polskiego w przeżywającym dziś olbrzymi kataklizm dziejowy świecie.

Otóż ta zdolność życia nie wyłącznie chwilą bieżącą, równowaga umysłu, nie poddającego się naciskowi przemijających nastrojów jest powodem, że myśl Dmowskiego nie stanowi tylko reakcji na zło, któremu się przeciwstawia, ale jest systemem, powstającym niezależnie, z przemyślenia i dróg historycznych Polski i ogromnych, często jeszcze mało widocznych przemian, dokonywających się w świe-

[1]) Roman Dmowski: „Świat powojenny i Polska", Warszawa, 1931, nakładem Spółki Wydawniczej Warszawskiej, M. Niklewicz, J. Załuska i S-ka.

cie. I ta właśnie postawa psychiczna jest sekretem, dzięki któremu myśl owa, szerząc się, będzie dawała impuls ruchowi, którego wpływ i znaczenie rozprzestrzenią się daleko poza czasy dzisiejsze, daleko poza przelotnie „aktualne“ troski i zabiegi.

Nie tylko jednak trudność wyrwania się poza krąg spraw dnia bieżącego jest przeszkodą, wskutek której umiejętność „patrzenia generalnie“ staje się dla większości pisarzy politycznych niedostępna. Równie często zawadza tu politykom własna ich, poprzednia działalność, o której myśl jednostronnie zabarwia i zniekształca objektywną analizę faktów. Powojenne pamiętniki mężów stanu, własną głównie osobą zaprzątniętnych, dostarczają licznych na to przykładów.

Jakże odmienną okaże się, w tem zestawieniu, mimochodem rzucona odpowiedź Dmowskiego na głoszone przez propagandę niemiecką twierdzenie, jakoby zachodnia granica Polski, wyznaczona w Traktacie Wersalskim, miała być tworem sztucznym, nie odpowiadającym warunkom życiowym:

„Temu niezawodnie ja osobiście zawdzięczam wysokie nieraz opinje, które czytam o sobie w publikacjach politycznych niemieckich: nie chcąc przyznać, że takie rozstrzygnięcie kwestji polskiej było całkiem naturalne, chcąc jaknajbardziej wzmocnić w czytelnikach przekonanie, że było ono sztuczne, pisarze niemieccy twierdzą, że osiągnięte zostało tylko dzięki niesłychanie upartej i przebiegłej polityce polskiej, która państwom zachodnim narzuciła swoje nieprawowite dążenia“ (str. 281).

Fakt, że jego własna zasługa historyczna jest przedmiotem dyskusji, ani na chwilę przed oczyma autora „Świata powojennego“ nie przesłania dalszych widnokręgów, ani na chwilę ze świadomości jego nie usuwa roli wielkich, nie kierowanych już wolą pojedyńczego człowieka, sił dziejowych. Cóż stąd, że teza publicystów niemieckich jest dla niego osobiście najpochlebniejsza? Plany przyszłej polityki polskiej układa Dmowski, a do tego potrzebna mu jest prawda i tylko prawda, ażeby mieć najściślejszy obraz rzeczywistości i zabezpieczyć się przed pomyłkami w przewidywaniu.

*

Brak egotyzmu, najdalej posunięta przedmiotowość łączą się w indywidualności pisarskiej Dmowskiego z cechą inną, którą określić można tylko jako bardzo wysoko rozwinięte, niezwykle mocne poczucie własnej godności. Wyczuwa się najwyraźniej, że autor poczytywałby sobie za ujmę, gdyby w wypowiadaniu prawd, które uważa za pożyteczne, miał powstrzymywać się względami na niezrażanie sobie czytelnika, gdyby myśl swą albo formę jej wyrażenia dostosowywał ulegle do panujących, choć uznawanych przezeń za szkodliwe, poglądów czy nastrojów. Jakby umyślnie dobiera np. słów ostrych, bezwzględnych, gdy zauważa w dygresji, że „do likwidowania siły polskiej w Europie najskuteczniej dopomagali sami Polacy przez swoje bezsensowne, pozbawione wszelkiej myśli, wszelkiego planu powstania“ (str. 171). A z jaką twardą bezceremonjalnością wykazuje zwyrodnienia i braki, które w psychice naszych warstw oświeconych pozostały jako skutek niewoli!

W czasach dzisiejszych, gdy publicyści spekulują raczej na opinjach mas, niż niemi kierują, w czasach obłudy, kłamanych idealizmów i wyrachowanych entuzjazmów, kiedy odpowiedzialni sternicy polityki europejskiej bez zawstydzenia powtarzają tanie frazesy, oklepane, pozbawione treści formułki, w które nie wierzą — niezależna, pełna godności postawa Dmowskiego jest zjawiskiem naprawdę niecodziennem.

Otóż w tej postawie moralnej autora „Świata powojennego“ mieści się najwłaściwsze bodaj wytłumaczenie owych rzadkich, dzisiaj chyba już przez wszystkich uznawanych, literackich wartości jego pism. Na czemże bowiem, w rzeczywistości, polegają niepospolite artystyczne zalety prozy Dmowskiego? Na tem właśnie, że u niego każde słowo znaczy, każde zawiera treść, każde pełni zadanie, sobie należne, że nie napotka się tam zdawkowych, konwencjonalnych zlepków wyrazów, które niczego nie mówią, a które tak nieestetycznie ma njerują „uroczystą“ retorykę mężów stanu i „poważne“ rozważania politycznych pisarzy. Dmowski w prozie swojej, w której każde zdanie ułożone jest z największą, najbardziej skrupulatną rzetelnością, urzeczywistnia to, czego domagał się niegdyś od literatury Wyspiański w „Wyzwoleniu“: odświeża, odnajduje „właściwą wagę słów — i słów właściwe znaczenie“.

Ale ważniejsza od literackich walorów dzieł Dmowskiego jest, z tejże samej postawy wynikająca, siła polityczna jego wystąpień. Są położenia, kiedy dla udaremnienia niebezpiecznej intrygi najskuteczniejszy jest — poprostu fakt jej ujawnienia. Tak było wiosną roku ubiegłego, gdy niektóre koła wielkokapitalistyczne, nadużywając najczcigodniejszych haseł, usiłowały wytworzyć w świecie nastroje przychylne dla przygotowywanej przez nie „krucjaty“ Polski oraz innych państw przeciwko Rosji sowieckiej. Ówczesne artykuły Dmowskiego w tej sprawie, obecnie w „Świecie powojennym“ przedrukowane, stały się prawdziwym czynem politycznym o historycznem bodaj znaczeniu. Okazały, jak nieodpartą bronią rozporządza pisarz niezależny, nie lękający się być szczerym, posiadający odwagę przeciwstawienia się otwarcie terrorowi „wielkich słów“, jeżeli za niemi dostrzega nie idealistyczne zgoła, a dla swojego narodu zabójcze, gry interesów i rachuby:

„Bolszewicy mieli prawo niszczyć Rosję, zamieniać w gruzy to, co wczoraj w niej zbudowano, mordować ludzi tysiącami, niszczyć moralnie i fizycznie całe pokolenia dzieci, zaprowadzać tyranję i ucisk, jakich nawet Rosja nigdy nie widziała, zamieniać państwo w jedno więzienie śledcze — to im wolno, są przecie u siebie. To nie przeszkadzało przyjmować z honorami ich ambasadorów. Ale wszystko ma swe granice. Nareszcie przebrali miarę swych nieprawości: chcą uprzemysłowić Rosję! Tego już sumienie komiwojażera europejskiego i amerykańskiego nie zniesie!...

...Sowiety świeżo wznowiły prześladowanie religji, wywołując wielkie oburzenie ludzi szczerze wierzących, a przedewszystkiem głos protestu ze strony Stolicy Apostolskiej. I oto stał się cud: komiwojażer, który dotychczas drwił sobie z religji, a przedewszystkiem był wrogiem Kościoła Rzymskiego, naraz uznał autorytet Ojca Świętego, poparł Jego protest — sam żyd lub bezwyznanowiec — zaczął przemawiać w obronie prześladowanego chrześcijaństwa i wołać o pomstę na prześladowcach. Bo sumienie jego, gdy raz zostało poruszone przez *„piatiletkę“* sowiecką, już nie zasypia“ (str. 130).

*

Ważniejsza wszakże, niż śmiałość, niezależność w wypowiadaniu swoich poglądów, jest — dla Dmowskiego szczególnie znamienna — śmiałość, niezależność w myśleniu. Cecha to bez porównania rzadsza, szczególnie w epoce dzisiejszej. Jak sam wskazuje:

„Umysłowi ludzkiemu, nawet wtedy, gdy ściśle rejestruje fakty, jeżeli te fakty są bardzo nowe, bardzo niezwykłe, w wielkiej mierze niezgodne z pojęciami, z któremi się zżył oddawna — trzeba wiele czasu, ażeby je przetrawić i wy-

ciągnąć z nich logiczne wnioski. A jeszcze trudniej do nich się dochodzi, jeżeli te wnioski muszą być z konieczności przykre, bolesne"... (str. 367).

Tembardziej podziw budzić muszą wyniki rozważań Dmowskiego, zwłaszcza oceny przyczyn i skutków dokonywającego się przewrotu ekonomicznego w świecie. Może dlatego, że spokojnego biegu myśli nie powstrzymuje mu przywiązanie do dzisiejszych form gospodarczego ustroju, że strach paniczny przed ich załamaniem się nie nakazuje mu zamykać oczu na widoczniejsze wciąż objawy jego rozkładu, potrafi Dmowski sięgnąć do najgłębszych przyczyn, niosących kres uprzywilejowanemu stanowisku wielkich, industrjalistycznych potęg Zachodu, przyczyn zarówno zewnętrznych, materjalnych (decentralizacja gospodarstwa światowego, emancypacja przemysłowa ludów pozaeuropejskich), jak i wewnętrznych, moralnych (upadek dyscypliny protestanckiej, wzrost chęci użycia i t. d.). I ukazując ogrom odbywających się przemian, nie waha się stwierdzić, że dzisiejszy świat „szybko się wali", a powstaje, „z małym bardzo udziałem świadomej woli ludzkiej, nowy świat, nowe życie, z nowym gruntem pod nogami, z nowemi typami ludzi, z nowym stosunkiem sił — świat dla jednych straszny, innym zaś niosący los pomyślniejszy" (str. 14).

Trzeba porównać bezradność, skrępowanie, lękliwość, z jakiemi o kryzysie cywilizacyjnym pisują głośni obecnie w Europie, na rozmaite języki tłumaczeni publicyści obozu liberalnego, np. Guglielmo Ferrero; trzeba porównać skłonność do zacieśniania się w doktrynerstwie, jaka cechuje najwybitniejszych, najgłębszych nawet przedstawicieli myśli nacjonalistycznej na Zachodzie, nie wyłączając znakomitej umysłowości Karola Maurras'a — aby zrozumieć, jakiem zupełnie wyjątkowem zjawiskiem jest we współczesnej publicystyce europejskiej „Świat powojenny" Dmowskiego.

Dzisiaj, gdy wpływy i nakazy tajnych organizacyj, nałogi umysłowe, nabyte w niedawnym jeszcze, a odmiennym zgoła od obecnego, okresie, obawa, lenistwo, przyzwyczajenie tak skutecznie krępują śmiałość myśli, niszcząc zdolność orjentowania się w nowych czasach i nowych zagadnieniach, — niewielu jest w Europie pisarzy, o których z równą słusznością, jak o Dmowskim, powtórzyćby można słowa, jakie król Stanisław August Poniatowski rozkazał niegdyś umieścić na medalu, wybitym ku czci Stanisława Konarskiego — *„Sapere auso"*.

*

Podstawową jednak cechą psychiki Dmowskiego, podmurowaniem mocnem, na którem opierają się najśmielsze, najoryginalniejsze jego konstrukcje myślowe, jest wiara w Polskę, w jej siły żywotne, w wielkość jej historycznych przeznaczeń. Ta wiara dawniej, gdy był on jeszcze przedstawicielem narodu w niewoli, pozwoliła mu stworzyć plan polityki polskiej i odbudowania państwa. Ta wiara dzisiaj przeziera z każdej karty „Świata powojennego", będąc istotnem, najgłębszem źródłem spokoju i równowagi, z jakiemi to dzieło jest pisane.

Oto np. niezmiernie charakterystyczne wyznanie Dmowskiego:

„My wcale nie jesteśmy zaślepieni w sądach o sobie, my siebie bardzo surowo krytykujemy, często surowiej, niż trzeba, ale my czujemy w sobie wielką siłę fizyczną i moralną, której zamało wykazujemy w codziennem życiu, ale która się zjawia, gdy zachodzi wielka potrzeba" (str. 314).

Stosunek do Rosji, niebezpieczeństwo niemieckie, kwestja żydowska, kryzys gospodarczy — omawiając każde z tych zagadnień po kolei, w każdem spostrzega Dmowski ogromne dla narodu polskiego możliwości, w każdem widzi sposobności do wyzyskania, warunki pozwalające Państwu Polskiemu na zdobycie pierwszorzędnego stanowiska w świecie.

Jasne więc, że tak pojęta wiara w Polskę nie ma nic wspólnego z kwietyzmem, z biernem tylko powierzeniem się biegowi zdarzeń: jest to wiara czynna, wymagająca realizacji. W gruncie rzeczy, tak jak wiara w siebie u jednostki, prowadzi ona przedewszystkiem do przeświadczenia, że my sami jesteśmy panami naszych losów, że we własnych rękach narodu polskiego spoczywa wielkość Polski i jej potęga. Tem poczuciem dźwięczą ostatnie słowa książki Dmowskiego: za przyszłość naszą „nie będziemy mieli prawa skarżyć się na nikogo, sami będziemy za swój los odpowiedzialni".

*

Przyczynków do charakterystyki Romana Dmowskiego — na podstawie „Świata powojennego i Polski" — możnaby gromadzić więcej, rozpatrywać je bardziej szczegółowo. Te, co są, starczą na uwydatnienie konkluzji: znakomity pisarz i mąż stanu jest w swem dziele przedewszystkiem i ponad wszystko — niepospolitej miary człowiekiem.

JAN REMBIELIŃSKI

ADOLF HITLER

OD ROKU, od zeszłorocznych wyborów w Niemczech, nazwisko Hitlera jest bardzo głośne w całej Europie. Znany on jest jednak przeważnie z tego, co piszą o nim jego przeciwnicy w pismach radykalnych i socjalistycznych, czyli że wizerunek jego jest z gruntu fałszywy.

Tymczasem jest rzeczą potrzebną i pożyteczną — zwłaszcza dla bezpośrednich sąsiadów Niemiec — posiadanie ścisłych wiadomości o Hitlerze, o jego stronnictwie, o jego programie i dążeniach. A to z dwóch powodów: 1) Jest wysoce prawdopodobne, że w niedalekiej przyszłości będzie miało stronnictwo Hitlera — narodowi-socjaliści — duży, jeśli nie decydujący głos w Niemczech, 2) oblicze psychiczne hitleryzmu i jego przywódcy, oraz program stronnictwa posiadają wiele pierwiastków ciekawych, jako przykład ludzi i prądów nowoczesnych w Europie Zachodniej.

Nie znam hitleryzmu z bezpośredniej obserwacji, która zawsze jest najbardziej pouczająca. Literatura tego ruchu jest jednak już bardzo obfita i wszechstronna, książka zaś samego Hitlera *„Mein Kampf"* [1]) pozwala zapoznać się i z prądem samym i z jego twórcą.

*

Adolf Hitler zaczął swą działalność polityczną zaraz po opuszczeniu szeregów wojskowych — w roku 1919; ruch przez niego stworzony posiada przeto już dwunastoletnią historję. Przez ten czas

[1]) *„Mein Kampf"* von Adolf Hitler. Verlag Franz Ehes Nachf. 1931. Cena 8 mk.

zdołał nietylko wypracować szczegółowy program polityczny, lecz także wytworzyć liczną, sprawną i rozpowszechnioną w całych Niemczech organizację.

Jest to ruch tego samego typu, co komunizm rosyjski lub faszyzm włoski. Jest antydemokratyczny i antyparlamentarny, zmierza do tego, by władzę w kraju ujęła zorganizowana i świadoma swych celów i zadań mniejszość. W Rosji mniejszość ta ma charakter i cele czysto społeczne, we Włoszech i w Niemczech natomiast narodowe. Wynika to z natury rzeczy i z konieczności, jest zgodne z typem cywilizacyjnym, historycznie wyrobionym, poszczególnych krajów. Niemcy należą do cywilizacji zachodniej, są społeczeństwem dobrze zorganizowanem, w typie swym silnie narodowem; stąd wynika, że nowoczesny prąd antydemokratyczny w programie, lecz ludowy w składzie i swych celach ogólnych, ma charakter wybitnie narodowy.

Najwięcej jest w nim podobieństw z faszyzmem, zwłaszcza w pomysłach z dziedziny ekonomicznej, jest jednak ruchem bardziej ludowym, niż faszyzm, ma cechy ruchu wybitnie masowego. Jedna cecha jest wspólna dla faszyzmu i hitleryzmu — są to ruchy, będące wyrazem instynktów i dążeń młodego pokolenia w obydwóch krajach. Zarówno czarne koszule włoskie, jak bronzowe koszule niemieckie, to młodzież obydwóch narodów.

*

Przywódca jest zawsze silnie związany z ruchem, który reprezentuje i prowadzi. Ruch znajduje w jednostce swój najlepszy wyraz, umysł, który formułuje jego dążenia, najlepszy typ swoich nieświadomych dążeń i instynktów. Jednostka w podobieństwach ze swem pokoleniem, w jednorodności instynktów podstawowych, wiążących ją z masą, ma podstawę do swej działalności i do swego przywództwa. Daremne są dociekania, kto był u źródła — prąd, czy będąca jego wyrazem jednostka. Ruch i przywódca są wytworem historycznym życia narodu, jego przejawem w określonym momencie dziejowym. Włochy, posiadające bezpośrednie dziedzictwo Rzumu Starożytnego, mające wśród siebie kolebkę Kościoła Katolickiego, wydały z siebie ruch bardziej zwarty wewnętrznie, oparty o silne uczucie, lecz mający mocną konstrukcję myślową; Niemcy, mimo że się nazywają narodem filozofów, wyrosły na krańcach ziem podlegających wpływom wychowawczym Rzymu, żyją bardziej instynktami, mają więcej indywidualności, a mniej indywidualizmu, ich organizacje mają charakter bardziej stadny, żywiołowy. Jest rzeczą charakterystyczną i — jeśli się nad tem bliżej zastanowić — konieczną, że nowoczesny ruch narodowy we Włoszech nosi nazwę rzeczową — faszyzm, gdy analogiczny ruch w Niemczech zapożyczył swą nazwę od nazwiska przywódcy — jest szeroko znany pod nazwą hitleryzmu, a nie socjalizmu narodowego.

*

Kim jest Hitler? Jest przedewszystkiem apostołem. Mimo wszystko, co o nim piszą ci, którzy go się boją, a dlatego właśnie nienawidzą, i mimo to, że reprezentuje on dążenia z gruntu antypolskie w Niemczech, trzeba — jeśli się obserwuje objektywnie i usiłuje przedewszystkiem zrozumieć — dojść do wniosku, że jest to jednostka niepospolita, której siłę stanowi wiara w ideę i zdolność pozyskiwania dla tej wiary szerokich mas. Człowiek, który potrafił osiągnąć takie wyniki, jak Hitler, w ciągu lat dziesięciu wytworzył szeroki prąd narodowy i stworzył najsilniejsze dziś w Niemczech stronnictwo, ma w sobie pewne cechy apostolskie — nieograniczoną wiarę, odwagę osobistą i zdolność poświęcania się, właściwości cenne przy suggestjowaniu ludzi i tłumów. Jest opętany przez ideę, jest dobrym przewodnikiem intelektu zbiorowego, ma prostotę ujmowania życia narodowego, podobną do tej bodaj, jaką w odmiennym kierunku miał np. św. Franciszek z Assyżu przy ujmowaniu życia duchowego i związku z Bogiem (nie znaczy to wcale, bym porównywał Hitlera ze św. Franciszkiem, jak to mógłby insynuować złośliwy krytyk).

Obok tych podstawowych, danych mu przez naturę instynktów zbiorowych, posiada Hitler głęboką znajomość mechaniki życia zbiorowego. Każdy, kto się tem zagadnieniem interesuje, znajdzie w jego książce nieprzebraną kopalnię wskazówek praktycznych. Przemyślał on gruntownie prawa, rządzące życiem zbiorowości ludzkich i wypróbował metodę oddziaływania na masy. Dał rozwlekłą i chaotyczną książkę; dla polityków i działaczy społecznych jest ona jednak niezwykle interesująca, bo stanowi prawdziwy, na praktyce oparty podręcznik organizowania ruchów masowych.

Łudzą się ci, którzy sądzą, że ruch hitlerowski jest przemijający, że jest to jakieś chwilowe zboczenie instynktu masowego; że Hitler jest pospolitym awanturnikiem, agitatorem nacjonalistycznym, hecarzem antysemickim. Jest to ruch oparty o najistotniejsze instynkty narodu niemieckiego, ruch odpowiadający momentowi dziejowemu, skupiający w sobie młodzież, która tworzyć będzie przyszłe Niemcy.

Zmienić on może swe oblicze, swój program, swe dążenia nawet. Lecz na nim budować się będą przyszłe Niemcy, z któremi zgodnie z tysiącletnią tradycją będzie miała do czynienia Polska. Przezorność przeto nakazuje przyglądać im się bacznie i z powagą.

*

W kiążce swojej mówi Hitler bardzo mało o Polsce — znajdujemy w niej zaledwie kilka ogólnikowych zdań, jednakowoż cała jej koncepcja powodzenia i roli międzynarodowej Niemiec prowadzi w konsekwencji do konfliktu z Polską.

Bo Hitler powiada, że głównem zadaniem polityki niemieckiej jest zdobycie ziemi dla nadmiaru ludności niemieckiej, sądzi dalej, że tej ziemi nie należy szukać za morzami, lecz bezpośrednio na wschodzie Europy. Trzeba nawiązać do tego, co było przed sześciuset laty — powiada — i wszcząć nanowo pochód na wschód. Musi to być wszakże poprzedzone przez odbudowę sił niemieckich i odnowienie psychiki zwycięskiej narodu niemieckiego. Jest też nietylko wrogiem bolszewizmu, lecz przeciwnikiem Rosji i polityki współdziałania niemiecko-rosyjskiego. Za dziedzicznego wroga Niemiec uważa Francję. Przeciw niej i przeciw Rosji pragnąłby przymierza z Anglją i Włochami.

*

Pisząc uwagi powyższe, nie miałem pretensji do tego, by czytelnika zapoznać z ruchem hitlerowskim. Chodziło mi jedynie o uzasadnienie, że ruch ten należy znać i zdawać sobie sprawę z jego znaczenia w życiu Niemiec i Europy.

STANISŁAW KOZICKI

MBRET OŚWIECONY

FILM HISTORYCZNY NA 3000 METRÓW[1])

NA KRĘTYCH ścieżkach wielkopańskiej polityki czy też intrygi, między Sejmami rozbiorowym i czteroletnim mignęła nam postać o nazwisku Castriotto d'Albanie. Osobnik ten bawił się wolnomularstwem różokrzyżowej odmiany, mędrkował z naszym Michałem Ogińskim, ze szwedzkim masonem Tollem, któremu obaj, — jak Mefisto Faustowi Małgorzatę — pokazali w Akwizgranie w r. 1782 słynnego biskupa Sołtyka, w tym samym czasie, kiedy prawdziwy Sołtyk szalał w Krakowie i dostawał się pod klucz władzy duchownej. „Ki djabeł?" pomyśleliśmy: Castriotto czy może Cagliostro? Udało się jednak ustalić metodą *alibi*, że ów duchowidz nie mógł być słynnym Balsamem Cagliostrem, chybaby się rozdwoił między Paryż i Akwizgran. Zresztą Bibljoteka Ord. Krasińskich w Warszawie posiada rękopis zatytułowany „*Considérations sur les causes de la décadence de Pologne par Castriotto d'Albanie*". Widocznie istniał Castriotto obok Cagliostra, a kim i czem był właściwie, objaśnia nas ciekawa książka chorwackiego publicysty i historyka, p. Mirki Breyera. Krótko mówiąc, był to szarlatan, marzyciel, poeta, filozof, polityk, *hochstapler*, intrygant, szuler, donżuan, wyzyskiwacz, samozwaniec, iluminat-mason: chyba dosyć tytułów, aby osobą jego zająć czytelnikowi chwilę wywczasu, zwłaszcza że ów Kastrjota maczał głęboko ręce w rzeczach polskich.

*

W ślicznem miasteczku dalmackiem Budwie, pod panowaniem Wenecji, na skrzyżowaniu prostej, nieco pierwotnej kultury czarnogórskiej i przerafinowanej italskiej, prosperowała w XVIII wieku rodzina Zanowiczów. Nazwisko nieobce polskiemu uchu, skoro podobno już w XV stuleciu przesiedlił się z Istrji do Polski bogaty członek tej rodziny, założyciel dzisiejszych Despotów Zenowiczów na Litwie, z których jeden, generał Jerzy Zenowicz, był adjutantem Napoleona, a broniąc szablą sprawy polskiej z francuską związanej, używał także pióra *pour la „Défense de la Pologne ou Histoire morale, politique et littéraire de cet ancien état"* (Paryż 1812).

Głową rodziny buduańskich Zanowiczów był Antoni, (1720 — 1801), kupiec i rolnik. Ten, uciuławszy pewien kapitał, przeniósł się z żoną, Franciszką Markowiczówną, do Wenecji — na swoje nieszczęście. Miasto Morosinich i Contarinich było podówczas przedewszystkiem miastem Casanovy, siedliskiem zbytku, karciarstwa, rozpusty i pojedynków. W tem niezdrowem środowisku chowały się na kosmopolitów i awanturników starsze dzieci „hrabiego": Marek, Przemysław, Stefan, Hannibal, urodzeni w Budwie, tudzież młodsze, z pod obcego nieba: Marja, Teresa oraz Mirosław. Ojciec pod przezwiskiem Buduana, z jakimś Dawidowiczem czyli Buduinem, otworzył jaskinię faraona, ale gór złota nie zarobił: wydalony przez wenecką policję, wrócił w Budwie do uczciwych zarobków i po latach umarł szanowany, jako cesarsko-królewski prezydent gminy miejskiej.

[1]) Przypominamy, że przed wojną światową cicho było w Europie o Polsce, głośno zaś o „mbrecie" t. j. władcy Albanji.

Synkowie wypłynęli wcześnie na pełne morze przygód. Trzej z nich: Przemysław, Hannibal i Mirosław to typy proste, dające się scharakteryzować w kilku zdaniach. Przemysław to oszust i nic więcej. Wygnany z Wenecji za szacherki, wpada we Florencji w wir miłostek i hazardownej gry, towarzyszy osławionemu Casanovie, wycygania różnym Włochom tysiące florenów, zaś Anglikowi, lordowi Pelham - Clintonowi — 12000 złotych gwinei; znów napędzony, uchodzi przez Medjolan do Lyonu, aby wnet potem zakasować samego siebie w kapitalnej „aferze zanowiczowskiej". W kilka lat potem wynurzają się Przemysław i Hannibal w zabranym Polsce kraju białoruskim, przy boku pięknego Zoricza, czwartego czy piątego kochanka carycy Katarzyny. Dużo rodzimego ciepła zaznali bracia w skomfiskowanej Czartoryskim, luksusowej rezydencji szkłowskiej; potem doznali jeszcze więcej mrozu w dalekim Archangielsku, gdzie ich zesłała caryca, uwikłanych w fałszerstwo sturublówek.

Mirosław (1761 — 1834), poważny działacz polityczny, trafił w młodym wieku na Litwę, wstąpił tam do jakiejś loży i zaniósł z niej ziarno tajnej „wiedzy" do swej ojczystej Istrji. W rewolucyjnych latach 1797 — 1814, kiedy kraje illiryjskie przechodziły z rąk weneckich do austrjackich, z austrjackich do francuskich i napowrót do cesarskich, miał Mirosław, jako szczery patrjota dalmacki, duży udział w akcji obozu franko-polskiego, ściągnął też na siebie gniewy najpierw pobratymczych Czarnogórców, potem — biurokracji wiedeńskiej.

Stefan, okaz pośredni między Przemysłem i Mirosławem, zażył pełni żywota z przedwczesnym, tragicznym finałem.

Ośmnastoletnim młodzieńcem, asystuje Przemysławow w jego szachrajstwach, a umie sztychem w plecy unieszkodliwić ścigającą go po sądach ofiarę; jest wspolnikiem skandalicznej „afery" 1772 r., ale jednocześnie sięga po inne laury. Nie wystarczyła mu nauka szkolna ani domowa pod kierunkiem najętego, „bestjalsko mądrego" pedagoga. Rzuca się w samouctwo, wyzbywa wszelkich przesądów, zostaje poetą i filozofem. Umie przytem tworzyć i filozofować z reklamą, aby nie ujść uwagi możnych tego świata. Najpierw w Akademji florenckiej *Dei Apatisti* popisuje się wierszem na cześć Katarzyny II. W Medjolanie, przygotowując do druku zbiór poezyj, mieszka u szwajcarskiego literata Bonztettena, gdzie daje się podglądać wśród stosów ksiąg i papierów, w stroju niedbałym, rozczochrany, blady, całemi dniami naczczo: zdziwionemu gospodarzowi wyjaśnia, że odkąd Wolter się zestarzał, a Jan Jakób zarzucił pióro, on sam jeden musi głosić prawdę i przenikać tajemnice przyrody. Ową wiązankę rymów poprzedza sonet na cześć autora, wyrażający radość, że na dalmackim brzegu rodzą się także „*i Danti... i Torquati*" W Paryżu znajduje dostęp do podejrzliwego Rousseau'a, tłumaczy jego „Pygmaliona" na włoski. Wciąga podobno w korespondencję Woltera i d'Alembert'a. Sławi rymem wdzięki swej Raguzy, ale zniesławia ją czynem, który zapisała *Cronique Scandaleuse*. Zadarłszy wreszcie w Rzymie z jezuitami, wraca na łono rodziny marzyć o innych popisach.

Właśnie we wrześniu 1773 r. zginął gwałtowną śmiercią głośny junak czarnogórski Stefan Mały, co to bił się z Wenecjanami i Turkami, a dla zdobycia większej wziętości udawał rosyjskiego cara, cudem ocalonego Piotra III, bez wielkiej oczywiście irytacji jego wdowy Katarzyny. Filozof buduański skorzysta z tego w mig, i odwiedzając Berlin w r. 1776, wylegitymuje się wobec Fryderyka Wielkiego, jako cudem ocalony Stefan Mały. Później, widząc, że efektu nie zrobił, a przeczuwając złe następstwa w razie, gdyby go caryca naprawdę utożsamiła ze Stefanem, i porwała, jako samozwankę „Tarakanównę", do Szlissenburga, puszcza w świat książeczkę *„Le faux Pierre empereur de Russie ou Stefan Mali"*, gdzie czyni już siebie tylko uczestnikiem fantastycznych wyczynów „Małego". Wnet jednak wynagradza siebie za tę degradację, wykazując na zmyślonem drzewie geneologicznem, że jest potomkiem w jedenastej generacji słynnego Skanderbega-Kastrjoty, pogromcy Turków w XV wieku. Ten tytuł nikogo w oczy nie ubodzie, a sensacji narobi coniemiara. Odtąd więc Zanowicz nazywa się dla Europy *Castriotto*, z kupieckiego syna robi się książę albański, czyli podzisiejszemu: M b r e t.

* * *

Pod koniec r. 1775 zawędrował z świetnego Wiednia do Warszawy. Wrażenie musiało być nieszczególne, ale dałoby się złagodzić, gdyby ten, kto nadawał ton Warszawie, *Serenissimus Stanislaus Augustus* przytulił do siebie filozofa, poetę, melomana, jak tulił tylu innych przybłędów. Wogóle nazwisko jugosłowiańskie nie budziło w ówczesnej Polsce zbytniego entuzjazmu: cicho, bez wrażenia przeszła podróż nad Wisłą uczonego Józefa Boškowicza, (1762 — 3), głośne stały się zato imiona tych najemników serbskiej krwi, co służyli Moskwie do uśmierzania konfederatów barskich: tych różnych Podgoriczanich, Piszczewiczów, Wuiczów, Totowiczów, Margariczów etc. Widocznie i Stanisław August nie poznał się na nowym Wolterze, skoro ów w liście niby to skierowanym do Carogrodu opisuje naszą stolicę bardzo niepochlebnie:

„Odkiedy Poniatowski jest królem, Polska przypomina Jerozolimę z czasów ukrzyżowania Chrystusa. Warszawa, pod Augustem III siedlisko bogactwa i wybornego smaku, dziś jest środowiskiem wędrownych szulerów, komedjantów, malarzy nagości i lichwiarzy. Gotówka znikła wszędzie z obiegu, a z braku gotówki wielcy obszarnicy wyzbywają się majątków za bylejaką cenę. Liche wychowanie większości, życie w nierządzie i niedołęstwie, prowadzą ich do tego, że tracą czas w otoczeniu dworu królewskiego, w zbytku, blichtrze i rozpuście".

Mniejsza o to, jaka doza prawdy tkwiła w tych wrażeniach, i w jakiej mierze spotęgowali je stęsknieni za utraconym rajem Sasi oraz stronnicy sascy. Oświecony Mbret poczuł się dobrze dopiero wśród jaśnie oświeconych naszych mbretów prowincjonalnych — t. j. niezadowolonych magnatów. Zwłaszcza Michała Ogińskiego umiał oczarować swym towarzyskim polorem, złączonym z pozorami wysokiej kultury. Gdzieś na tarasie rezydencji Słonimskiej, przy szmerze wodotrysków czy przy gędźbie nadwornej kapeli, toczyły się rozmowy, których kwintesencję zebrał Zanowicz w dziełku *„Le destin politique de la Pologne"*, bodaj identycznem z owemi *„Considérations"*, o których manuskrypcie wspomnieliśmy na wstępie. Castriotto sądzi surowo kraj, w którym szlachta zatraciła rycerskiego ducha przodków, mieszczaństwo ledwo żyje w ucisku, i daje się rugować żydom, chłopstwo całkiem bez duszy i bez ludzkich uczuć. Nawet na konfederatów barskich, do których należał był dziedzic Słonimia, gość jego nie jest łaskaw, a najwięcej ma im do zarzucenia to, że na sztandarze umieścili Najświętszą Pannę zamiast obrazu zwycięzkiej wolności. Reszta Polski po rozbiorze jest już rosyjską prowincją, i nie ocalą jej żadne nadzieje, pokładane w państwach zachodnich, ocali m o ż e jeden jedyny człowiek, gdy dojdzie do władzy — pruski następca tronu Fryderyk Wilhelm... Umiał wszelako Zanowicz wygłaszać te czarne prawdy tonem serdecznego współczucia, skoro nietylko nie zraził Ogińskiego, ale go do siebie przywiązał. Przybłęda staje się „kuzynem" magnata, czepia się go na Litwie i we Francji i w Anglji, i pod Strasburgiem i u eks-marszałka Paca, wyciąga z Ogińskiego — jak ów przyznał — do miljona złotych, zawraca mu głowę „duchem Sołtyka", przez Ogińskiego zaznajamia się z Wielhorskim, K. Radziwiłłem, kasztelanicem Brzostowskim, z jakąś Lubomirską, i T. Potocką, i ze sławną patrjotką Genowefą Brzostowską; nieznanej jakiejś piękności dedykuje *„chansons amoureuses à Geltrude de Pologne"* w językach francuskim i włoskim, pełne słowiczych treli i księżycowego światła. Skąd taka łatwość zjednywania ludzi? Pomagał sobie Stefan pochlebstwem, nadrabiał blagą na temat stosunków z monarchami, z Wolterem i Rousseau'em, z Gluckiem i Metastasiem, ale nie koniec na tem. Między Ogińskim, mistrzem „francuskiej" loży Dobrego Pasterza w Wilnie, a Zanowiczem, który też wypisywał sobie na portretach masońskie godło: *Beauté - Sagesse - Force*, istniało ogniwo przynależności do jednej międzynarodowej tajnej organizacji — i ta okoliczność tłumaczy nam wiele.

Wyssawszy na początek, co się dało, z Ogińskiego, pomknął *conte* Stefan do Drezna, gdzie spodziewał się równie łatwo opanować Radziwiłła, znajomego jeszcze z Dubrownika, z tych czasów, kiedy ks. Panie Kochanku bałamucił się z księżną Tarakanow. Na razie Radziwiłł miał dość samozwańców, a niedosyć gotówki, więc zostawił pani Brzostowskiej przyjemność przyjmowania filozofa, a sam nie dał się oglądać. Zanowicz delektując się wolnomyślicielską gawędą z młodym Wielhorskim (który jakoś w tym czasie przegrywa w karty olbrzymi majątek), spłodził nad Łabą nową książkę: *„Lettere Turche"*, na podobieństwo tylu innych krytyczno-publicystycznych „listów" owej doby, naśladowanych z Monteskjusza. Czego tam niema! Jest i apel do Katarzyny, aby go zaprosiła nad Newę („Ty szafujesz dobrodziejstwy od Tobolska do przylądka Matapanu, ja od Czarnego Morza do Łaby... rozwijam sztandar prawdy"). Jest i „portret autora", gdzie się przedstawia, jako uosobienie filantropji i ofiara czarnej reakcji; jest rozprawa o cudach, poświęcona Klemensowi XIV i komedyjka *„Tureckie wesele"*, i obrazki dalmatyńskie, i wywody o dostojnej krwi czarnogórskich pasterzy, i kpiny z dynastji saskiej, pod której dachem bezpiecznie siedział. Raz już przyszło ostrzeżenie z Paryża, by książe elektor Fryderyk August nie tolerował w swej bliskości wydrwigrosza. Stefan wyłgał się wówczas śmiałym listem do ministra Sackena, a ponieważ właśnie w Dreznie umiał zacieśnić okultystyczne związki z szarlatanem Schröpferem, z chrabią de Saint Germain, wynalazcą elik-

siru życia i fabrykantem djamentów, zapewne też z mistykiem Bischoffwerderem, więc ostrzeżenia paryskie pozostały bez skutku, i dopiero te „Tureckie listy" wyczerpały cierpliwość elektora. Autorowi kazano się wynosić; on skoczył do Berlina. W pełnym kadzidła i tupetu liście oddaje się pod opiekę największego króla-bohatera, on, Cernowich Castriotto d'Albanie, bohater wojen wyzwoleńczych z Turkami. Nie starego Fryca było brać na takie romantyczne kawały! Zato chował się pod bokiem Fryc młody, następca tronu, otyły i rozpustny mistyk, Fryderyk Wilhelm. Bodaj się tacy książęta na kamieniu rodzili! Masońskie rekomendacje nie zawiodły: *Kronprinz* codzień zaprasza Kastrjotę na obiady, pisze się jego *très affectionné et bien véritable ami*", płaci zań długi, a *Kronprinzessin* Fryderyka Luiza — wówczas mężowi już obojętna — słodkiem oczkiem patrzy w palisandrowe oko południowca.

Narobiwszy nowych długów, frunął niebieski ptaszek na południe, do Rzymu. Tym razem jechał, jako pobożny pielgrzym Warta, a ledwo przybył, wdał się w romans z głośną angielską awanturnicą, równie jak on nienasyconą i niespokojną, księżną Kingston, z domu Elżbietą Chudleigh. Ona miała lat 50, on o połowę mniej, więc i tym razem Angielka znęciła go nietyle temperamentem i urodą, ile sprytem i bogactwem. Jak daleko zaszedł i jak wygasł ten romans, czy Zanowicz uciekał z Rzymu przed wyrokiem czy po wyroku, niewiadomo, dość że następny teren obłowu obrał sobie w Środkowej Europie. Do kochanego Hohenzollerna nie dopuszczała go policja pruska, która go nawet wygryzła z księstwa Dwóch Mostów, gdzie się zagnieździł na świetnym dworze Karola Alberta. Wyproszą go z Zweibrücken, to pojedzie do Belgji, skokietuje sławnego mecenasa-literata-wojownika-„filozofa" księcia de Ligne, pożywi się u niego w pałacu Beloeil przez szereg miesięcy. Nie omieszka odwiedzić modnego Spaa, tej stolicy pseudoksiążąt, pseudomarkizów i podrabianej szlachty. Na ten rok 1782 przypadł w Akwizgranie seans naszego bohatera z Ogińskim, Tollem i „Sołtykiem". A że rachunek hotelowy w Spaa wynosił zadużo, więc gość prysnął pewnej nocy, zostawiając hotelarzowi portret swojej niebywałej żony — oparł się aż w Wiedniu.

Jak ćma tłukł się ten człowiek o wszystkie iluminowane pałace i jak motyl kąpał się w blaskach cudzych myśli, uwodząc naiwnych mężczyzn i kobiety, wciąż tworząc i przetwarzając „*Epitres pathétiques adressés à Frédéric Guillaume, prince royal de Prusse le Bien-Aimé* (1779—80), „*La poésie et la philosophie d'un Turc*", „*Le grand Castriotto d'Albanie, histoire*" (1779), „*Oeuvres choisies du prince Castriotto d'A.*" (1782) ze wskazówkami dla Stanów Zjednoczonych, jak mają urządzić swe państwo; „*Fragment d'un nouveau chapitre du Diable boiteux, envoyé de l'autre monde par Le Sage*", z niebywałemi djalogami między autorem, carewiczem Pawłem i Ogińskim; „*L'Alcoran des princes destinés au trône*" (Petersburg, 1783) niby „nakładem Akademji Nauk"; „*La Solitude*", wreszcie kilkaset „*Pensées*" („Kalkutta, u nababa Haider-Alego") rzekomo spłodzonych w bezsennych nocach, naprawdę ściągniętych z La Rochefoucauld'a. Każdą z tych elukubracyj zdobiły wizerunki autora, w pancerzu lub w tureckim stroju i w turbanie, z ujmującym uśmiechem na twarzy, albo ze wzrokiem wpatrzonym w gwiazdy, wśród mieczów i koron, i dział i gwiazd, i chmur i wężów, z akompanjamentem górnobanalnych sentencyj.

Sława literacka rosła nad miarę zasług Kastrjoty, ale jemu się śniła także sława królewska. Jeżeli Poniatowski z rzekomego „pazia Ogińskich" awansował dzięki Katarzynie na Króla Polskiego, to czemuż on, przy pomocy Ogińskich, Potockich, Krasińskich, Radziwiłłów, a przy potężnem poparciu Fryderyka Wilhelma, nie miałby zostać tamtego następcą? Tak z rozbrajającą szczerością spowiadał się Stefan ojcu, gdy namawiał go do zaniechania eskapad. Skoro jednak Poniatowski siedzi bezprawnie w cieniu rosyjskiej ambasady, to nasz „*prince destiné au trône*", potomek i biograf Skanderbega, zwraca oko na południe. Właśnie w Wiedniu od wstąpienia na tron Józefa II wchodziły w modę motywy orjentalne. Zanowicz, entuzjasta Ameryki ale nie naśladowca Puławskich, poduczył się o tyle niemieckiego, by puścić w obieg odę do Skanderbega z następującym zwrotem *ad se ipsum*: „*Einsam irrt er ohne sein Verschulden Durch die Welt mit heiterm Angesicht*: *Unrecht und Verfolgung kann er dulden, Armuth dulden, Sklaverei nur nicht!.. Bald, bald kömmt in schweren Ungewittern, O Albania, ich sehe ihn schon! Dein Erretter, sehe vor ihm zittern Schon die Pforten zum Tyrannen-Tron*". Czyżby aktor zaczynał naprawdę wierzyć w swe posłannictwo bałkańskie? Wprawdzie mu szyli buty w Wiedniu właśni rodacy dubrowczanie, wprawdzie cesarz Józef przenikał całą imposturę, ale póki żyje w Gronindze taki naiwny Holender Fockens, co płaci zań długi, póki w Czechach podobne dobrodziejstwa świadczy mu sam hr. Fr. A. Waldstein, niewarto tracić fantazji. W braku wojny na Bałkanach, można wyzyskać konflikt austrjacko-holenderski o żeglugę na Skaldzie. Kastrjota chwali się przed rządem holenderskim, że ma iść przy armji księcia de Ligne na Groningę, na czele 20000 czarnogórców, gotów jednak poprowadzić tych strasznych wojowników, tudzież podobnych Albańczyków właśnie na pomoc Holendrom, byle uzyskał dla nich przyzwoity żołd. Rada Zjednoczonych Prowincyj odpisała, że wynagrodzi tę przysługę odpowiednio do jej wartości. Dobre i to. Z holenderskim papierem w ręku naciąga Zanowicz bankierów i dyplomatów na składkowy fundusz nawigacyjny, niby to zakłada towarzystwo okrętowe, niby już wybudował trzy statki: „*Prince d'Albanie*", „*Comte Ogiński*", „*Prince de Prusse*".

Jeszcze jedna miłostka z hrabiną Malcomesius, jeszcze jedna ofiara masońskich rozhoworów, którą pada słynny z czasem rewolucjonista, męczennik Terroru, kosmopolita Anacharsis Cloots... Jeszcze jedno bezczelne pismo do rządu niderlandzkiego, by mu zwrócił miljon florenów, wydany niby na agitację wśród Czarnogórców — i nagle księga żywota Stefanowego zamyka się z hałasem. Braciszek Przemek nie próżnował... Cyganił bez pomocy filozofji, poezji, okultyzmu i dyplomacji, aż się docyganił kryminalnego procesu w Wenecji, gdzie go skazano (1778) na banicję, względnie 10 lat galer, a przy sposobności zasądzono i hr. Stefana, jako wspólnika, na trzy lata więzienia. Ponieważ wyrok nie uwzględnił cywilnego powództwa kupców holenderskich, oszukanych przez Przemysława, doszło między morskiemi potencjami do kłótni i omal nie do zerwania stosunków, dzięki czemu ptaki niebieskie mogły hulać jeszcze całe lata. Aż 13 kwietnia 1786 r. wytrzeźwieni wielbiciele i wierzyciele spowodowali areszt Kastrjoty w Gronindze. Wyszły na jaw nowe sprawki. Bronił się zrazu dumnie i sprytnie, lecz uwikłany w krzyżowe pytania, upadł na duchu. *Kronprinz*, Ogiński, Waldstein

daleko, księżna Kingston blisko, bo w Paryżu, ale wobec nagromadzonych dowodów winy — bezsilna. W ostatnich dniach czerwca buduański Peer Gynt przecięciem żył uchronił siebie od poniżającej kaźni. Trup spoczął we wspólnym grobie pospolitych złoczyńców.

Potworek, czy do pewnego stopnia genjuszek? Chyba i jedno i drugie. Przedewszystkiem atoli syn swej epoki, dusznej, pełnej miazmatów, drwiącej z państwowości, a nie rozumiejącej narodowości. Gdyby nie ta dekadencka Wenecja, nie ten wyuzdany, pędzący w przepaść Paryż, możeby się niezwykłe talenty Stefana Zanowicza obróciły w innym kierunku. Boć i on i jego bracia z natury swych indywidualności byli wrażliwymi odwórcami prądów, wśród których się obracali, sami nie przynosząc z rodzimej gleby żadnego ideowego kapitału. Jeżeli mimo to poświęciliśmy Stefanowi baczną uwagę, to dlatego, ponieważ on pierwszy lub jeden z pierwszych od r. 1776 wskazał naszym magnatom malkontentom osobę Fryderyka Wilhelma, jako jedynego możliwego zbawcę Polski. Wiadomo, jakie z tych nadziei wynikło po Sejmie Czteroletnim... zbawienie.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

„KATEDRA"

(FRAGMENT POWIEŚCI „NA CZTERY WIATRY")

MARJA Nidecka pochodziła ze sfery ziemiańskiej. Dzieciństwo spędziła na wsi i dopiero przyjechawszy do Warszawy na jakieś kursy, pozostała w niej nazawsze. Wyszła zamąż z wielkiej miłości, a ku niezadowoleniu rodziny, za urzędnika na dość mizernej posadzie. W owych czasach kwitły jeszcze przesądy kastowe, rozróżniano większe i mniejsze „mezaljanse", to też zamążpójście panny Kamieńskiej uważano powszechnie za krok conajmniej nierozsądny.

Rodzony brat jej, Erazm, który przez kilkanaście lat po śmierci rodziców zarządzał majątkiem i jako znacznie starszy od Marji, był jej opiekunem, — zdaniem opinji, nie stanął na wysokości włożonych nań przez urodzenie i tradycję obowiązków.

Był to dziwak, stary kawaler, bibljofil i szperacz. Kochał nadewszystko książki, niecierpiał gospodarstwa wiejskiego. Za młodych lat uczył się zagranicą, gdzie długo przebywał; marzył o karjerze naukowej, o dalszych studjach historycznych, może w przyszłości — o katedrze. Zmuszony do powrotu wskutek złego stanu finansowego, osiadł w Kamionce, lecz i tu poświęcał więcej czasu książkom, rzadko pokazując się w polu i na dziedzińcu folwarcznym. Rządził podawnemu ekonom, rządził, jak mógł, lub jak chciał, zależnie od stopnia uczciwości. Zbyt jakrawe dowody kradzieży zmuszały pana Erazma do usunięcia złodzieja. Uczciwy rządca, jeżeli się udało na takiego natrafić, miał zwyczaj zanudzać właściciela drobiazgami, o których ten ostatni wolał nie słyszeć. Cóż bowiem w gruncie rzeczy obchodziło zatopionego w księgach mola, że ktoś na własne oczy widział chłopa Wydrałę, jak wywoził nocą z pańskiego lasu sosnę, zrąbaną naturalnie bez pozwolenia? Albo że parobczak dworski znów ukradł worek jęczmienia, przeznaczonego na siew?

Wszystkie te sprawy i sprawki, od których jeżyło się życie w zacisznym, stuletnim dworku, spowodowały, iż w umyśle pana Erazma Kamieńskiego począł dojrzewać pewien konkretny plan: sprzedać majątek, za jednym zamachem pozbyć się kłopotów, związanych z ekonomami i służbą, spłacić siostrę i urządzić sobie egzystencję bardziej sprzyjającą zamiłowaniom uczonego.

Jakoś przed samą Wielką Wojną pan Erazm znalazł nabywcę i, nie targując się zbytnio, sprzedał Kamionkę z folwarkiem Kępy Małe, wymówiwszy sobie jedynie, że połowa całej sumy zostanie wypłacona w złocie. Było to jedno z dziwactw starego jegomościa, wykpione zrazu przez krewnych i znajomych, jako niedorzeczny wybryk, a później przez tych samych ludzi uznane za godną naśladowania przezorność. Bieg życia bowiem wykazał, że gdy pieniądze pani Marji Nideckiej, złożone w banku, przepadły w czasie ewakuacji Rosjan, „fortuna" jej brata nietylko została uratowana, lecz nie ucierpiała nawet w okresie dewaluacji. Właściwej genezy tego pomysłu nie znał nikt, a była nią prześliczna, ręcznie kuta skrzynia żelazna z połowy szesnastego wieku, opatrzona dwunastoma zamkami, istne cudo, które Kamieński nabył gdzieś okazyjnie, szperając w jakichś zbiorach prywatnych. Widok tej skrzyni przypomniał historykowi, że musiała kiedyś służyć do przechowywania dublonów i piastrów. Nie mając ich pod ręką w odpowiedniej ilości, zadowolnił się umieszczeniem w swym „skarbcu" złotej waluty, mającej naówczas kurs w kraju.

Oprócz wszystkich swych książek i części umeblowania, zabrał jeszcze z Kamionki starą klucznicę, Monikę, która podobno pana dziedzica na rękach nosiła, nim zaczął stawiać pierwsze kroki. Babina miała w tamtych czasach sześćdziesiąt lat z okładem i dość gderliwy charakter. Stanowiła jednak, wśród księgozbioru i rodzinnych pamiątek, jedyne żyjące ogniwo między teraźniejszością i przeszłością.

Chociaż ani wtedy, ani później nie przestała dowodzić, że „pan chyba do reszty rozum stracił, żeby taki majątek w obce ręce oddać" — stary kawaler słuchał jej zrzędzenia cierpliwie i nawet łagodnie tłumaczył, gdy już przebrała miarkę w narzekaniu:

— Czego się tak ciskasz, Monisiu? Nie każdy jest stworzony, aby siedział na roli, siał zboże i martwił się, czy mu ozimina pod śniegiem nie wyprzeje... Jakbym został w Kamionce, prędzej czy później wszystkobym stracił. A tak mam życie, jakie lubię, i święty spokój...

— Spokój, spokój!... — sepleniła staruszka, wzruszając ramionami — Ja za to ani chwili spokoju nie mam!... Niedość, że pan majątek przejada, mórg po morgu, jeszcze, nie daj Boże, złodziej się kiedy zakradnie i ten „święty spokój" w worku wyniesie...

— A od czego ty jesteś, Monisiu? Nie bój się, wiem, że sen masz lekki... A złodziej mojej skrzyni nie otworzy, musiałby ją chyba porąbać. A przyznasz sama, że z tem złotem niezgorzej mi się udało. Ileśmy dawniej na życie miesięcznie

wydawali? Sto rubli? I teraz też sto rubli! Wszyscy krzyczą, że drożyzna, ty sama na targ chodzisz, to wiesz, a nam to nie zaszkodzi!

— Nie zaszkodzi? Skończą się pieniądze i co pan będzie miał? Trzeba głowy na karku nie mieć... Dwa folwarki, jak złoto... I nie ubędzie ich... A pańskie złoto pójdzie między ludzi, pójdzie... Prędzej, niż się pan sam opatrzy, że głupstwo zrobił...

— Wystarczy, Monisiu, do samej śmierci wystarczy, i dla mnie i dla ciebie. I jeszcze coś Jadwini zostawię.

Z całej rodziny Nideckich do jednej Jadwigi czuł wyjątkowy sentyment. Zaczęło się to jeszcze w Kamionce, gdy siostra z dziećmi na wakacje zjeżdżała. Chłopcy hałasowali i psocili, Irena była zawsze chłodna, zajęta własnemi sprawami i jakby obca w domu. Tylko ta mała figa, bąk paroletni, chodziła za wujaszkiem jak piesek. Ona jedna miała nawet wstęp do bibljoteki. Aż się dziwił, jak cicho potrafiła siedzieć w kąciku, oglądając obrazki w książce, którą dla niej zdjął z zakurzonych półek. Było to dziecko łagodne i ciche od urodzenia, zawsze małomówne i jakby zamyślone. W późniejszych latach, gdy ją matka oddała na naukę do klasztoru, sądzono nawet, że Jadwinia już tam kiedyś w przyszłości zostanie, jako nauczycielka, albo nawet wstąpi do nowicjatu. Niestety, zaczęła chorować na oczy i musiała opuścić szkołę. Gdy powróciła do domu, (było to już po wojnie i wujaszek Erazm od szeregu lat mieszkał w Warszawie) dawne nici wzajemnej sympatji stały się jeszcze mocniejsze i trwalsze.

Jeszcze w początkach okupacji niemieckiej stary kawaler zaczął niedomagać poważnie: oddawna cierpiał na reumatyzm, aż w końcu nie mógł już chodzić prawie zupełnie. Parę kroków z łóżka na fotel i z fotelu na łóżko kosztowało go już wiele wysiłku. Kalectwo to nie dolegało mu zbytnio: mógł przynajmniej czytać i czytać całemi dniami. Wzrok miał wyborny, nigdy nie potrzebować używać szkieł.

Dziwne to było mieszkanie i jeszcze dziwniejsze życie jego lokatorów. Trzy pokoiki w starej dzielnicy miasta miały tę właściwość, że żadna ściana nie stała pod kątem prostym do drugiej. Sufity przypominały kształtem plaster miodu, lub romby, niktby nie zliczył zakamarków i skrytek, zapełnionych książkami. Książki leżały też we wnękach okien, na stołach, nawet na podłodze. Osobliwy tryb życia, prowadzonego przez parę dziwaków sprawiał, że świat zewnętrzny nie miał tu prawie żadnego dostępu. Nawet wypadki wojenne dochodziły dalekiem echem. Jedynie, gdy do Warszawy mieli wejść Niemcy, pan Erazm zaniepokoił się o zbiory, wśród których miał sporo egzemplarzy naprawdę rzadkich.

— Te szelmy znają się na wszystkiem, — rzekł do Moniki. — Gotowi mi zarekwirować cenniejsze książki i gdzie ich potem będę szukał?

Ale i na to znalazła się rada. Schował dobrze swoje inkunabuły w różnych skrytkach, Monika ukryła po zakamarkach i pawlaczach miedziane rądle (pozostałość po dobrych czasach w Kamionce) i życie płynęło dawnym trybem.

Dopiero z przyjazdem Jadwini wiele się w niem zmieniło.

Jadwiga miała około trzynastu lat, gdy ją zabrano z klasztoru. Była wówczas w trzeciej, czy czwartej klasie. Z początku ukrywano przed nią, że dalsza nauka jest niemożliwa. Łudziła się, że choroba oczu przeminie. Nosiła cierpliwie i z poświęceniem okulary o szkłach niebieskich, sumiennie liczyła wpuszczane pod powieki krople lekarstwa i — czekała, aż wyzdrowieje.

W owym czasie zaczęła odwiedzać wuja Erazma. Początkowo były to wizyty krótkie i niezbyt częste, szybko jednak oboje przekonali się, że jest im bardzo dobrze z sobą. Wujaszek zaczął czytywać głośno poważne dzieła z zakresu historji i filozofji. Jadwinia słuchała ze skupieniem, chociaż wielu rzeczy nie mogła zrozumieć. Tłumaczył jej, objaśniał. Potem przyszło mu na myśl, że właściwie mógłby kształcić dziewczynkę systematycznie, wypełnić luki i prowadzić dalej kurs czwartej klasy. Uradzili, że Jadwinia będzie przychodziła dwa razy tygodniowo, (Nideccy mieszkali na drugim końcu miasta) ale zato na długo, na szereg godzin.

Wuj Erazm nie przypuszczał nawet, że odświeżanie w pamięci własnych lat szkolnych może dać tyle radości. Dużo już zdążył zapomnieć, więc przed każdą lekcją przygotowywał się sumiennie, jak pilny uczeń, zwłaszcza w dziedzinie matematyki, która nigdy nie była jego mocną stroną. Czasem nawet miał tremę, by się wobec tej smarkatej nie zbłaźnić. Jadwiga była zdolna. Uczyła się z zapałem, powtarzała wykład z drobiazgową dokładnością. Miała zdumiewającą pamięć, zapewne właśnie dlatego, że jeden z najważniejszych zmysłów — wzrok — był mocno upośledzony.

Po paru latach, pewnego wiosennego przedpołudnia, wujaszek oznajmił uroczyście, że Jadwiga... zdała maturę.

— Powiadam ci, smyku, — dodał, klepiąc ją po policzku — nie obcięłaś się ani z jednego przedmiotu!

Dziewczyna promieniała, był to naprawdę szczęśliwy dzień w jej życiu. W i c h życiu, bo i nauczyciela rozpierało uczucie dumy.

— No i cóż, — rzekł, gdy się już dosyć oboje nacieszyli. — Chyba wstąpimy na uniwersytet, jak myślisz?

— Myślę, że tak, wujaszku...

— Jakąż obierasz specjalność, moja panno? Bo że pójdziesz w kierunku humanistyki, o tem nie wątpię...

— Specjalność? Ależ historja, wujaszku! Naturalnie, historja! — zawołała Jadwiga, zarzucając mu ręce na szyję.

— Spodziewam się... — mruknął — Spodziewam się...

Był nietylko zadowolony, lecz i wzruszony do głębi. Usiłował to ukryć, mówiąc:

— Miesiąc wakacji, a potem praca. Zgoda?

Jadwiga uśmiechnęła się.

— Poco nam wakacje, wujaszku? Zaczniemy lepiej we czwartek. We czwartek przyjdę.

Odtąd zaczęły się dla obojga najszczęśliwsze czasy. Wuj Erazm doznawał uczucia, że wszystkie jego marzenia spełniły się. Czytali razem, studjowali, dyskutowali. Miał w Jadwidze wymarzonego słuchacza. Wykładał z zapałem umiłowany przedmiot. Chwilami do tego stopnia ulegał złudzeniu, że przemawia do audytorjum w dużej sali, iż mówił: „Proszę państwa“ albo: „Zechcą państwo łaskawie zauważyć“...

Wykładał. Ona słuchała. Miał nareszcie „katedrę“...

WANDA MIŁASZEWSKA

GŁOSY

DO PSYCHOLOGJI TCHÓRZOSTWA CYWILNEGO

WRACAM z Kórnika. Byłem tam po raz pierwszy jeszcze za czasów wygnania właścicieli. Zamek jak z bajki: wszystko, co wytworzył cudacznego *toc* pseudogotycki Schimklów, Viollettów, czy Rauchów. Ale ma to już urok myszki, patyny, co się zieleni jak pleśń na wodzie fosowej — jest tam też jezioro jak w Szkocji Walter Scott'a i Alhambra jak w dramacie Huga.

Ale na tem tle trochę sztucznem a trochę aktorskiem kwitnie niemniej żywa od pokoleń poezja ideału: jenerał, jenerałowa, pan Władysław z Zakopanego, panna Marja z Kuźnic...

Piękną zaś postać jenerała scharakteryzowała najpiękniej samaż jenerałowa własnoręcznie wpisanym wersetem z Pisma na fotografji pozgonnej...

*

— A oto, co czytamy w korespondencji Krasińskiego na temat tego męża, który przeżył swój żywot „w pracach rozlicznych, w razach nad miarę, w śmierciach częstokroć", — reminiscencja jakżeż wymowna i pod kątem czasów i wypadków dzisiejszych:

„W sam dzień"—pisze Krasiński do przyjaciela Sołtana 7 lutego 1856 r. — „i chwilę pogrzebu Mickiewicza, na schodach Magdaleny, gdy za trumną wstępował ten, co najznakomitszy wytrwałością, odwagą, wiarą i duszy wzniosłością z wszystkich wygnanych naszych, rzucił się nań z tyłu Jaźwiński kapitan i dopuścił się świętokradztwa narodowego na tym obchodzie narodowym. Śmiał bezbożną i bezecną ręką uzbrojoną w pałkę, dwa razy z wszystkiej siły uderzyć go w plecy. Odwrócił się spokojny jak zawsze i tylekroć wśród bojów najkrwawszych spokojny ów, o którym mówię. Złoczyńca schronił się do hufca towarzyszy czy wspólników, którzy go okrążyli i dali mu się wymknąć. Jeden Budzyński był go za kołnierz porwał i zatrzymał, gdy chciał w pierwszej chwili jeszcze trzeciem uderzeniem zbeszcześcić nie tego, na którego się zamachiwał, ale ten dzień, tę trumnę, to miejsce i własny naród. N i k t z r e s z t ą n i e p o r w a ł d o o b r o n y n a p a d n i ę t e g o, wypuścili Barabasza! T a k z a w s z e s i ę d z i e j e. T e n c z ł o w i e k b y ł n i e g d y ś s t r a ż n i k i e m c e l n y m p o d K r z e m i e ń c e m, w p o w s t a n i u d o r w a ł s i ę k a p i t a ń s t w a, p ó ź n i e j ż e b r a ł p o w s z y s t k i c h d o m a c h p a r y s k i c h, n a l e ż ą c d o o w e j s z u i, c o p o u l i c a c h n a p a d a. Później z własnej woli zaciągnął się do pułku sułtańskich kozaków, którzy dziś po dowództwem tego, którego uderzył i, zaciągnąwszy się, w osiem dni zbiegł, pułk porzucił, udał się do Stambułu i tam s z y n k z a ł o ż y ł. Później tu wrócił i napastował wszędzie najszlachetniejszego z ludzi, dowódcę swojego, który mu zawsze odpowiadał groźnie, że ze zbiegiem niema nic do mówienia Takie dzieje tego niegodziwca. A l e c ó ż p o w i e s z, m a o b r o ń c ó w, m a s t r o n n i k ó w i w i e l u s i ę c i e s z y, ż e s i ę t a k a o b r z y d l i w o ś ć s t a ł a! Ach nieszczęśliwym my narodem. Już nas robaki ostatecznie toczyć zaczynają. W Barabaszach kochać się zaczynamy. Od rzezi 1846 roku takiej boleści nie doznałem. W takiej chwili, przy tej trumnie, na schodach Przybytku Pańskiego, ten, co nigdy nie zwątpił, ten, który jeden coś był dowiódł na przyszłość ze swoich zabiegów i starań męczeńskich, ten, co wznowił był dopiero co tradycję Legjonów i chwycił sztandar ich z ziemi i wzniósł go nadal ku niebu, ten o postaci tak rycerskiej i chrześcijańskiej, o tak niespożytym żadnymi boleściami ani przeszkodami duchu, ten wśród tłumu ziomków z k t ó r y c h ż a d e n, ż a d e n n a p o m o c m u n i e p r z y b i e g ł, ten wart czci i podziwu za cnotę żelazną. ten najdzielniejszy ręką polską uderzon... To strach! strach nie dla niego, ale dla Polski i Polaków! I wiesz, co wyrzekł zaraz, w pierwszej chwili! Oto te słowa przedziwnie piękne: „Sądziłem że początek męczeństwa więcej boli". Tylko uważano, że podczas Mszy, co nastąpiła zaraz potem, czasem konwulsyjnie ściskał poręcz krzesła, na którem klęczał. Nie w tem wszystkiem o niego mi idzie. Co może dziki zwierz, podły zwierz, przeciw ludzkiej naturze i to najwznioślejszej? Ale mnie chodzi o te znaki zgnilizny, rozsiane po społeczeństwie naszem, ten duch stronniczy, duch zawiści, duch kłamstwa wiekuistego, który nas opanował i sprawia, że oburzenia dość niema wśród naszych z powodu takiego wydarzenia. Stąd idzie, że to wydarzenie zaczyna takim sposobem nas wszystkich kalać, a przynajmniej wykazywać, żeśmy bez ducha, b e z p r z e ś w i a d c z e n i a, c o z ł e a c o d o b r e, ż e ś m y b e z ż a d n e j o p i n j i p u b l i c z n e j, a to s ą z n a k i ś m i e r c i! I t o w s z y s t k o s t a j e s i ę w c h w i l i, k i e d y t a k ł a t w o b ę d z i e p e w n y m p o t ę g o m ś w i a t a p o w i e d z i e ć o n a s: P a t r z c i e, c z y w a r c i o d ż y c i a?"[1])

podał K. M. MORAWSKI

[1]) Podkreślenia częściowo Krasińskiego częściowo autora notatki.

NAUKA I LITERATURA

MĄDROŚĆ I PRZEZNACZENIE

JESZCZE jedna „dobrana para" przybywa dziejom literackim, wogóle dziejom zawiedzionych uczuć ludzkich. Mam tu na względzie Maeterlinck'a i świetną artystkę dramatyczną oraz śpiewaczkę, Georgette Leblanc, która w niedawno wydanej książce, sama zwierzyła światu historję swojej, trwającej zgórą dwadzieścia lat, „wielkiej miłości" dla twórcy „Księżniczki Maleine'y" [1]).

Książka ta, pomijając, iż jest bardzo pięknie napisana, przedstawia znakomitego pisarza ze strony mało znanej, i tyle porusza ważnych zagadnień związanych, z głębszem życiem dwojga niezwykłych istot ludzkich, że powinna zainteresować żywo każdego, kto nie jest obojętny na życie rozwijające się na wysokim poziomie duchowym.

Z jednej strony mamy młodą egzaltowaną i ekscentryczną kobietę, marzącą o wielkiej miłości, duszę otchłanną, spragnioną wszystkiego, co niepospolite, nieosiągalne, nieprzewidziane, duszę czynną przytem, nie cofającą się przed największemi trudnościami, zdolną do ofiar i wyrzeczeń się, byle dojść do wymarzonego celu; z drugiej — wrażliwego, zamkniętego w sobie poetę, poruszającego się w obrębie poetyckich symbolów życia, własnych o niem wizyj oraz przeczuć, kontemplatora i badacza głębin i tajemnic bytu, żyjącego na zewnątrz spokojnem, zdyscyplinowanem życiem natury zrównoważonej, nieznoszącej wstrząśnień i ekscesów, odmierzającej chwile zarówno pracy jak wczasów, przeciętną miarą ludzi zwykłych.

Mniejsza o to, jak się to stało (książka dużo o tem mówi) w krótkim wszakże czasie, po spotkaniu się tych dwojga, nastąpiła pomiędzy nimi miłosna wymiana uczuć, świadcząca o wzajemnej ekstazie. Stan duszy najzupełniej zrozumiały, gdy chodzi o G. Leblanc, ona bowiem, nagle i niespodziewanie, stanęła u szczytu swoich marzeń, posiadła

[1]) Georgette Leblanc. *„Souvenirs"* (1895 — 1918) *précédés d'une introduction* p. Bernard Grasset. Str. 344.

to szczęście, do którego dążyła całą siłą wyobraźni oraz uporczywej myśli (Maeterlinck'a ubóstwiała nie znając go, po przeczytaniu pierwszych jego utworów).

Mniej naturalna jest ekstaza Maeterlinck'a. Charakter jej sprawia wrażenie, że zrodziła się ona z nadmiaru „literatury", była sama dalszym ciągiem twórczości literackiej poety — myśliciela, a jej wyraz nowym jego poematem, w którym bohaterami są już nie fikcyjne istoty, lecz żywi ludzi: sam Maeterlinck i urocza artystka.

W listach Maeterlinck'a, pisanych w okresie zachwytu, trwającego przez parę lat — co także jest dość znamienne— znajdujemy główne wątki tego poematu:

„Doprawdy — pisze M. do G. Leblanc — zapytuję siebie często, w jakim świecie my żyjemy, i obawiam się chwilami, żeby miłość nasza nie umarła z powodu własnego piękna"...

— — — — — — — — — — — — — — —

„W listach twoich nie znalazłem ani jednego zdania, które nie byłoby żyjącem i które nie żyłoby w tobie, a to zachodzi w duszach całkowicie przezroczystych, w istotach prawdy głębokiej i światła czystego. To właśnie charakteryzuje ciebie przedewszystkiem, i jest przyczyną, że kocham cię, być może, szalenie. Jesteś, zdaje mi się, istotą najbardziej żyjącą, jaka kiedykolwiek istniała, istotą życia i światła. Wszystko, czego się dotkniesz, nabiera jasności, przechodzisz, poprzez rzeczy, jak źródło jasne, które nie błądzi...

— — — — — — — — — — — — — — —

„Gdy zatrzymuję wzrok na twojej prostocie, na duszy twojej, na której można się wesprzeć jak na skale, myślę, że nawet w dniu, w którym przestaniesz mnię kochać, nie będę być może nieszczęśliwym, nie przestanę bowiem cię kochać i miłości mojej nie będzie mogło nic zmienić, chyba to, co ją uszlachetnia".

— — — — — — — — — — — — — — —

Po napisaniu dramatu „*Aglavaine et Selysette*" (*Aglavaine*'a miała być wzorowaną na G. Leblanc), Maeterlinck pisze z tego powodu:

„Nie martw się z racji Aglavaine'y. Nie jest ona doskonałą, ale to dlatego, że inna, doskonalsza, która wskutek tego będzie podobniejsza do ciebie, ma przyjść wkrótce...

„Czy wiesz, co zarzucają Aglavaine'ie". To mianowicie, że jest bosko piękna i nie może istnieć. Nie przestawałem uśmiechać się w tym tygodniu, myśląc o tem, że ta, której biedna Aglavaine'a jest tylko cieniem, istnieje jednak. Co jednak wypełniło mnie radością, to przedewszystkiem, iż liczni korespondenci moi, którzy o niczem nie wiedzą, stwierdzili, że w życiu mojem musiała zajść jakaś zmiana ogromna i świetlana. Jeden z nich pisze: „Co pana spotkało? zdaje mi się, jakbym słyszał Łazarza"...

— — — — — — — — — — — — — — —

„Stwierdziłem, że szczęście, zaufanie, spokój, bezpieczeństwo, poczucie oraz pewność schronienia duszy, zawsze otwartego i niewzruszonego, tak weszło w życie moje, że oś myśli moich przechyliła się w stronę światła, co też jest wolą duszy; i ja, który byłem cały przeniknięty ślepą siłą przeznaczenia, doszedłem do pisania rzeczy, w jakich nie mogę nie uznać, że przeznaczenie wewnętrzne nie istnieje, że niema dramatów nieuniknionych, i że wszelkie przeznaczenie moralne (a to jest prawdziwe) należy wyłącznie od potęgi mądrości nagromadzonej w nas... Gdybyś nawet nie była kobietą, byłabyś jedyną istotą, jaką kiedykolwiek kochałbym zupełnie"...

— — — — — — — — — — — — — — —

Czy tego rodzaju zachwycenie, które trwa przez parę pierwszych lat stosunku poety z G. Leblanc, jest przeniknięte żywą treścią uczuć i namiętności, czy źródłem jego głębokie wzruszenie człowieka, przeżywającego jakąś wyjątkową miłość do kobiety? W jej pisanym wyrazie tło niby jest utkane z tych uczuć i wzruszeń, niekiedy nawet może się zdawać, że ten ociężały i zamyślony flamand wyszedł tu ze swojej równowagi i przeżywa prawdziwie swoją wielką miłość, — gdy jednak dobrze rozważymy to wszystko, jasnem się staje, iż on zachwycony jest przedewszystkiem jeszcze jednym wytworem własnej wyobraźni poetyckiej, pełniejszym i piękniejszym od tych, co przedtem zostały wcielone w jego utwory.

Pomijając dość zdawkowe — jak na tej miary poetę — zaklęcia, że jego uczucie się nie zmieni, choćby przestał być kochanym — z tych ekstatycznych ćwiczeń literackich Maeterlinek'a nie wygląda dusza, płonąca prawdziwie ogniem miłości. Tu wciąż przemawia poeta, przejęty tem, co olśniewa jego wyobraźnię i stwarza mu nowe możliwości twórcze. Pretekstem w tym wypadku jest kobieta, którą traktuje jak osobliwe zjawisko, przejmujące go zdumieniem wskutek bogactwa zawartej w niem treści; wobec tego żywego zjawiska, tej „istoty życia i światła" — jak M. nazywa G. Leblanc — bledną i maleją „istoty" stworzone przez niego, postaci jego utworów.

Wszakże powiada, że „biedna" Aglavaine'a jest tylko „cieniem" G. Leblanic, że wkrótce ma przyjść doskonalsza, bardziej do niej podobna i t. p.

W tem zachwyceniu jednak, nie przestaje poeta panować nad sytuacją, nad własnem uczuciem, zgóry przewidując i godząc się z tem, co może być jego klęską.

Powiada przecie, że może nie będzie nieszczęśliwym, gdy nie będzie już kochanym; przewiduje także, iż miłość ta może zginąć z powodu własnego piękna, albo, że w nim nie zgaśnie, cokolwiek się stanie.

Kto tak te rzeczy rozważa, ten na wszelkie ewentualności jest przygotowany, i jest zabezpieczony wobec złego losu, gdyby się zdarzył: poradzi sobie z najgorszą jego odmianą nie jest bowiem bezsilnym i bezbronnym. Tak też się stało, po dwudziestu latach pożycia z G. Leblanc pod jednym dachem, w ciągu których niejednokrotnie jeszcze wyrażał poeta, piórem i żywem słowem, swej niezrównanej towarzyszce życia, swój zachwyt oraz wdzięczność za to, czem dla niego była, jak dobroczynną rolę względem niego odegrała, jak szczęśliwym go uczyniła. I nietylko nie przeżył żadnego dramatu wewnętrznego, po zerwaniu stosunków z tem wcieleniem „światła czystego", co „nigdy nie błądzi", lecz, jakby go nigdy nie spotkał na swej drodze, połączył się, tym razem węzłem małżeńskim, z osobą nic posiadającą najmniejszych danych na to, by stać się „ideałem" wzniosłego poety. Zresztą już mu to nie było potrzebne! Z „ideałem" nierozminął się w życiu, posiadł go, zaspokoił on w największej mierze tęsknotę poety do niego, wywołał w nim zmianę „ogromną i świetlaną" (M. sprawiał wrażenie wskrzesonego Łazarza), czegóż więcej mógł spodziewać się po nim, tembardziej, że z biegiem lat, skarb jego, z którego czerpano pełną garścią, zaczynał świecić pustkami? „Ideał" więc otrzymał odprawę, wspaniałomyślny wszakże poeta pozwalał na to, by ludzki jego cień nieopuszczał go, pisał bowiem do G. Leblanc: „twoje miejsce jest tutaj" (*„ta place est ici"*), akt ślubu zawartego nazywał „świstkiem papieru" (*„papier insignifiant"*), dodając wieloznaczące: „gdy czas przeminie, zobaczymy, co wyrośnie na nowo na ruinach"... Tak melancholijnym (i cokolwiek wykrętnym) zwrotem literackim zakończył autor „*Sagesse et destinée*" swoją wielką miłość, czy też to, czem ona była w jego wyobraźni.

Po takim żałosnym końcu wielkiej przygody jej życia, o której mniemała, iż „wznosi się ponad uczucia znikome", pisała G. Leblanc do swojej przyjaciółki: „Niech mi nie wspominają o pisaniu! Gdybyś wiedziała, jaką mam odrazę do literatury. Przecież to ona leży u podstawy moich nieszczęść. Dla niego, jak dla mnie, literatura była pierwiastkowem złem naszego związku. Sfałszowała ona nasz sąd o rzeczach. Nic nie zrozumiałam, nic nie widziałam, zaślepiona wzniosłością na papierze"...

Jest to bardzo trafne ujęcie całej sprawy, zbyt jednak sumaryczne. Oboje zgrzeszyli nadmiarem literatury, która była punktem wyjścia i legła u podstawy ich związku. Nierówne wszakże są ich przewiny w tej mierze.

I tu i tam wchodziła w grę przesadna, „fałszująca sąd" wyobraźnia artystyczna; tylko po stronie kobiecej działało, prócz tego, jeszcze niezwykłe, żywe uczucie, wnoszące w związek ideę wyrzeczenia się na rzecz drugiego, przejęcia

się i oddania jego celom i dążeniom, nieraz wbrew własnym sprawom, — z męskiej natomiast surogat literacki uczucia, które tchnęło wzniosłością głównie na papierze. „Żyłam wbrew instynktowi — powiada G. Leblanc — mogłabym nawet powiedzieć: wbrew życiu" (272).

Jak dalece było to prawdą, niech świadczy choćby to, że wpuściła do ich domu tę osóbkę, która poźniej została poślubioną żoną Maeterlinck'a. „Zgodziłam się na to — pisze — żeby wszystkich zadowolić, i ponieważ chodziło o niego, o istotę, która przyzwyczaiła się robić wszystko, co jej się żywnie podoba" (307).

W tem się wyraża istota ich związku: „mądrość" jednej strony, „przeznaczenie" — drugiej.

W pierwszych latach ich związku „tworzyli" wspólnie znane dziełko filozoficzne Maeterlinck'a — właśnie „*Sagesse et Destinée*". Trochę zawiele, być może, pretensji twórczej miała z tego powodu jego współautorka, gdyż rzecz ta, jak wszystkie inne pióra Maeterlinck'a, powstałaby najpewniej, w tej lub innej formie, bez jej wpływu i pomocy.

Jednakże wpływu tego nie zaprzecza sam główny autor, który, w trakcie pisania „Mądrości i przeznaczenia", nieraz, pół-żartem, — pół-serjo, mówił, że współpracowniczkę swoja cokolwiek „okrada" z myśli, co zresztą potwierdził uroczyście w dedykacji. „Jest — mówił tam — współpracownictwo wyższe i rzeczywistsze od współpracownictwa pióra, mianowicie myśli oraz przykładu". A dalej stwierdzał, że nie wiele trudności kosztowało go wyobrażenie „postanowień i czynności mądrego ideału", dość mu bowiem było patrzeć uważnie na życie tej, której „ruchy, postawy i przyzwyczajenia były mądrością samą".

Jakże jednak, pomimo to, różniły się głęboko ich pojęcia o mądrości, a jeszcze więcej sposoby praktykowania jej. Jakie odmiennemi były ich „postanowienia i czynności", wypływające z mądrego ideału. W tym wypadku „literaturę" bardziej reprezentowała G. Leblanc, niż Maeterliack, a jej „mądrość" była więcej literacka, jego zaś więcej życiowa, zgodna z jego naturą, z potrzebami oraz instynktem jednostki, która przyzwyczajona była „robić wszystko, co chciała". Subtelność i wzniosłość ducha wprowadzał Maeterlinck przedewszystkiem w dzieła swoje, do literatury, to wszystko wszakże mało go krępowało w życiu rzeczywistem: na tem polegała jego „mądrość". Wręcz przeciwnie G. Leblanc, ona bowiem tak żyć chciała, jak sobie wyobraziła ideał życia z uwielbionym poetą, jak roiła urzeczywistnić z nim związek, oparty na czemś, co panuje nad znikomością uczuć.

Urzeczywistniała ten ideał „wbrew instynktowi, wbrew życiu samemu" — jak spostrzegła później, Maeterlinck natomiast, ideały wszelkie urzeczywistniał na papierze, naturze swojej ich nie przeciwstawiał, żył w zgodzie z jej instynktami.

Z różnych „mądrości" — odmienne „przeznaczenia". „Dwie kochające się istoty — powiada G. Leblanc — powinny poruszać się po jednych i tych samych relsach". Tu, przeciwnie, relsy były nie te same: nastąpiło rozejście sie i oddalenie.

Maeterlinck, broniący się stale przed wszystkiem, co go pozbawić mogło równowagi ducha (niedarmo nazwisko jego znaczy po flamandzku „ten co odmierza"), dbały o prawidłowość życia swego, opanowany w uczuciach swoich i nie skłonny do ich dramatyzowania (chyba w utworze literackim), — powrócił, jakby nic ważnego nie zaszło w jego, istnieniu, do regularnego, jak zwykle, trybu pracy i wczasów: do wzniosłej literatury oraz najzwyklęjszych rozrywek — do sjesty poobiedniej z nieodstępną fajką, kawą czarną i kieliszkiem „fine", i t. p. przyjemności ogółu śmiertelnych.

Pani Georgette Leblanc, ciągnąc za sobą — jak się wyraża — przez dziesięć lat trupa zmarłego życia swego usiłowała w tym czasie przetworzyć siebie wśród tragedji bez końca: mianowicie tragedji zdumienia. Słowem, nie zerwała z literaturą, pomimo wstrętu, jakiego nabrała do niej: było to snać jej przeznaczeniem...

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

W POŁOWIE DROGI

KRYTYKA nasza zwracała niejednokrotnie uwagę na fakt zaiste zdumiewający w narodzie, który wydał Sienkiewiczów, Reymontów, Żeromskich, mianowicie, że polska współczesność prawie nie znalazła echa w naszej literaturze pięknej. Aktualność powieści polskiej kończy się na opisach obyczajów Warszawy, przez szereg pisarzy niemal jednako ujętych; z wyjątkiem „Klejnotów" Perzyńskiego nie było w ostatnich latach powieści o nowych horyzontach, śmiałych koncepcjach, ciekawem ujęciu palących zagadnień. Nic, tylko szablon. Nasze powieściopisarstwo ratuje do pewnego stopnia powieść historyczna i regjonalna. Powieść współczesna polska nie jest tym czułym instrumentem, który notuje wstrząsy narodu, ostrzega przed niebezpieczeństwem, nie jest tem wrażliwem sumieniem, które analizuje niezdrowe objawy życia narodowego, które poruszyć chce duszą zbiorową. Powieść polska jest w większości wypadków wykwitem dyletantyzmu, bo poza formą, pogonią za oryginalnością nie tworzy nowych wartości. A nie tworzy ich dlatego, bo nie tkwi korzeniami w potrzebach narodu, bo potworzyły się kapliczki wzajemnej adoracji, bo istnieje wprost umowa, by nie wyrywać z uśpienia sumienia zbiorowego.

Mnóstwa zagadnień polskiej współczesności, które za lat parę stracą na wyrazistości, nie porusza się wcale: tworzenie nowej Polski (próba ujęcia w Mortęskiego: „Takiem jest życie") tragedja przewrotu majowego, kryzys moralny i polityczny, „bajeczne karjery", tragedja zniewalania sumień w połączeniu z „upaństwawianiem" myśli i uczucia, odwieczny dylemat: honor czy karjera w nowej szacie polskiej, duch polskości na kresach zachodnich Polski — oto kilka tylko zagadnień, które czekają ujęcia w powieści.

Pierwszą próbą poruszenia pewnych bolesnych doświadczeń naszego życia współczesnego jest powieść Kazimierza Wybranowskiego: „W połowie drogi". (Gebethner i Wolff 1931 r.). Bohaterem powieści jest pułkownik Władysław Borowski, były legjonista, który po zamachu majowym „dostał urlop, o który nie prosił" i w konsekwencji opuścił umiłowaną służbę. W połowie swej drogi życiowej musi młody, pełen sił i ochoty do pracy człowiek rzucić warsztat pracy, który zna i kocha — jedynie dlatego, że spełnił nakaz swego sumienia. To jeden z tych bezbrzeżnie smutnych przejawów rządzenia w młodem państwie, któremu przecież zależeć powinno na każdej sile młodej, zdolnej, chętnej do pracy. Stało się systemem „odbieranie możności człowiekowi służenia ojczyźnie w sposób najlepszy, wskutek czego będzie marnował siły na jakąś pracę zarobkową, w której może nie być nic ideowego". Prawdziwa tragedja rozpoczyna się dopiero w reakcji na takie postępowanie, tragedja osobista czy narodowa, pogodzić się z losem, szukać innego zajęcia, czy walczyć?

Uświadamia to sobie Borowski po słowach Pawłowicza: „Chciałeś służyć ojczyźnie, miałeś potemu zdolności i dobrześ się do tego przygotował. Odpędzili cię od służby, tyś to wziął tylko za cios osobisty, nie przeszła ci nawet przez głowę myśl, że trzeba walczyć ze złem ogólnem". I tu tkwi jądro zagadnienia: znikczemnienie wielu tych, których pracy pozbawiono, którzy przeważnie wybierają dwa wyjścia: marnieją albo idą na służbę „silniejszych", uważając oportunizm za jedyną mądrość życia: „czwarta brygada". Rzadkie są charaktery, jak Zaleski w powieści, pełne prawdziwego hartu duszy. Jak proste i bezkompromisowe jest jego wyznanie: „Ja wiedziałem, że później czy prędzej mnie wygryzą. Nie

jest to dla mnie wesołe, mam żonę i czworo dzieci. Z emerytury dzieci nie wychowam. Muszę szukać jakiejś choćby skromnej posady. Ale trzeba było zrobić swoje. Myśmy od najmłodszych lat pracowali na to, żeby była Polska... Sam sobie w twarz bym napluł, gdybym dziś bezczynnie patrzył, jak po tej Polsce hulają rozsadzane przez ambicję osły, bandyci wszelkiego gatunku, jak dobro Polski, dobro przyszłych pokoleń jest rozkradane i trwonione. Ludzie, którzy spokojnie na to patrzą — to hołota". Ostre i bezwzględne te słowa skierowane są przedewszystkiem pod adresem legjonu hyjen, które wyzyskując „konjunkturę" wyłącznie i jedynie dla osobistych korzyści, podszywają się pod pracę ideową. W słowach tych dotyka Zaleski tej najgłębszej bolączki naszego życia współczesnego Polski: zaniku patrjotyzmu, rozwielmożnienia się rozmaitego gatunku łajdactwa, chorobliwych i szkodliwych ambicyj, supremacji aferzystów ideowych i innych nad Polską, ale i równocześnie inercji społeczeństwa, które jakoś nie umie zdobyć się na energiczną walkę z tem złem. Najgorzej więc cierpią ci, którzy posiadają rzeczywiste walory moralne, elita duchowa, niezależna myślowo, nawskroś uczciwa.

Te myśli, lekko naszkicowane, są główną nicią ideową powieści Wybranowskiego. Autor porusza pozatem inne przykre doświadczenia naszego społeczeństwa młodego państwa, dotyka szeregu zastraszających przejawów upadku etyki w narodzie polskim. Akcentuje więc silnie płytkość w sferze myśli i uczuć, chorobliwe wprost nieróbstwo, nieumiejętność wyzyskiwania sił narodu, megalomanję w połączeniu z niekompetencją w każdej dziedzinie naszego życia i w każdej warstwie społeczeństwa polskiego, wstrętny oportunizm, szczególnie tych „którzy nie pozują, nie udają nic, bo do niczego nie aspirują, wystarcza im pełne koryto i tarzanie się w błocie". Autor piętnuje zżydzenie obecnego pokolenia w dziedzinie moralności i etyki (przykład Jankowski), system skrytobójstw i załatwiania porachunków bez pośrednictwa prawa, upadek praworządności, myśli samodzielnej i niezależnej. Wielka szkoda, że spostrzeżenia te są niekiedy luźne, że są zbyt słabo uzasadnione. Z tych elementów stworzyć było można powieść wstrząsającą!

Wysunięcie tych prawie dotąd zupełnie nie poruszanych momentów naszego życia współczesnego, polskiej współczesności stanowią pierwszą wielką wartość powieści. Drugą jej zaletą — to atmosfara krzepiąca powieści, zdrowy duch jej bohaterów, czystość i jasność intencyj ich, pogodne ujęcie całości mimo przykrych refleksyj. Uosobieniem zdrowia moralnego są: główny bohater powieści Borowski i jego partnerka Basia, niezłomnością charakteru imponuje Zaleski, zacnością ujmuje Franek.

Uczciwość i dobroć promieniują z Grodziskiego i Pawłowicza. Nawet Ola, wprowadzająca moment zmysłów w powieści, budzi sympatję swą uczciwością. Galerja typów ujemnych ogranicza się do bandyty Felusia, oszusta Ostapowicza i moralnego zera Jankowskiego. Zaletą powieści jest również unikanie rozwlekłości, rozwadniania myśli, znakomite bezpośrednie przejścia z akcji jednej do drugiej.

Słabą stroną jest natomiast wadliwa konstrukcja psychologiczna. Uderza to szczególnie w ujęciu postaci Basi i Pawłowicza. Basia jest chodzącą doskonałością, nawet cienia wady nie posiada, jest mądra, miła, dowcipna, dobra, inteligentna — wskutek takiego ujęcia nie jest już żywym człowiekiem, jest ideałem. O wiele bliższa prawdy życia jest jej rywalka Ola, wskutek tego sympatyczniejsza. W ujęciu postaci Pawłowicza jest również sporo niekonsekwencji psychologicznej. Jest nieprawdopodobnie przenikliwy, zbyt wszechwiedzący i nadto przewidujący. Mimo tych niedociągnięć powieść posiada pierwszorzędne walory, stanowi zdrową i krzepiącą lekturę, kładzie kres wstydliwemu lub tchórzliwemu milczeniu o zagadnieniach żywotnych Polski współczesnej.

JOT

RUCH WYDAWNICZY

„Kurjer Lwowski" wydał dn. 2 b. m. specjalny numer, poświęcony Kasprowiczowi. Znajdujemy w nim między innemi następujące artykuły: Kasprowicz poeta narodowy — Tad. Konteckiego. Z dziejów Kasprowicza — Zygmunta Wasilewskiego, Savitri Jana Kasprowicza na tle indyjskiego pierwozoru — Tad. Żadereckiego. Ze wspomnień o J. Kasprowiczu — prof. Tad. Grabowskiego. Co mi dał Kasprowicz? — prof. Stanisława Grabskiego i szereg innych.

*

W numerze dzisiejszym zamieszczamy fragment najnowszej powieści Wandy Miłaszewskiej p. t. „Na cztery wiatry", która w najbliższych miesiącach ukaże się w wydaniu książkowem nakładem Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

*

Książkę Marcelego Duponta „Generał Lasalle", przełożył i wstępem zaopatrzył Bolesław Wieniawa-Długoszowski, nakład Księgarni F. Hoesicka. Generał Lasalle jest wprost klasycznym typem zabijaki w stylu żołnierzy Wallensteina, lub, szukając analogij w literaturze, w rodzaju sienkiewiczowskich kompanów Kmicica. Umiłowanie ruchliwego w czasie wojny, żołnierskiego zawodu i ślepa wiara w wodza przysłania jego oczy na inne, idealne racje wojny. Z ofiarnością zdrowia i życia, z szaleńczą, nadludzką odwagą, walczy bohater tej książki nie w myśl hasła „niech żyje Francja", ale za hasłem „niech żyje cesarz", przyczem dzięki talentowi wojskowemu wybija się na czoło wypadów armij napoleońskich na Egipt, Włochy, Hiszpanję i Austrję. Osobiste zalety, jak uroda, wdzięk towarzyski, koleżeńskość i rycerskość wobec pięknych pań są wdzięczną okrasą jego namiętnej żądzy przygód i trjumfów. (A. W.).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Drugie Cesarstwo posiada, jak wiadomo, licznych obrońców, ale i niemniej licznych krytyków, a to zarówno w dziedzinie historycznej, jak i w dziedzinie literackiej. W tym zbiorze najrozmaitszych dzieł i powieści cesarzowa Eugenja zajmuje oczywiście wybitne miejsce. Jej to właśnie poświęca swoją ostatnią pracę p. Octave Aubry, pracę, opartą na dużej lekturze i poważnych źródłach. Książkę tę, p. t. *„L'Impératrice Eugénie"* czyta się jak powieść, ale bo też i życie Eugenji Montijo było właściwie jedyną w swoim rodzaju powieścią. Tej bowiem, która miała stać się cesarzową Francuzów, pewna stara *„gitane"* przepowiedziała *„Tu monteras très haut et tu vivras cent ans, mais tu finiras dans la nuit"*! Takim zaś stał się w istocie przebieg jej burzliwego i dramatycznego życia. P. Aubry przedstawia nam najpierw jej młodość, potem decydujący w jej egzystencji pobyt w Paryżu, gdzie do hotelu, w którym zatrzymała się matka i córka, przybył wysłannik Napoleona III, przynosząc zapowiedź cesarskiej korony. Autor w sposób barwny opowiada również następnie okres jej władzy. Historycy nietylko zarzucali cesarzowej Eugenji rozrzutność, ale również i ambicję mieszania się do polityki, zgubną dla interesów Francji. P. Aubry jest też zdania, że nie była przeciwną wojnie 1870 r. Jak wiadomo bowiem, niektórzy twierdzą, iż cesarzowa Eugenja miała w te odezwać się słowa: *„Cette guerre, c'est ma guerre"*. Fakt jest, że miała na cesarza duży wpływ, a sama znowuż ulegała różnym podszeptom swego, nie zawsze interesującego otoczenia. To też po dniach chwały, przyszły dni żałoby: straciła bowiem nietylko koronę, męża, ale także potem i syna w sławnej afrykańskiej wyprawie. Cesarzowa Eugenja mieszkała stale w Anglji; od czasu jednak do czasu przyjeżdżała do Francji, a w Paryżu zjawiła się jako stara, złamana wiekiem i przejściami kobieta, w kilka lat po ostatniej wojnie.

(I. B.)

*

„La Rechute" (Plon édit.)—to ostatnia powieść Pawła Bourget'a, który, nawiasem mówiąc, dobiega już 70-go roku życia, całkowicie oddanego karjerze literackiej. Ta książka wzbogaci też jeszcze i tak liczną galerję typów jego mężczyzn i kobiet. Cécile Rémonde studjuje prawo i uprawia sporty; Pierre Thérade jest lotnikiem, marzącym o wielkim rejdzie transatlantyckim. Poznają się w Cannes, sympatyzują, z sobą widują się za powrotem w Paryżu i zakochują. Nic zdaje się pozornie nie powinno stać na przeszkodzie tej miłości dwojga młodych. A jednak zaledwie ją sobie wyznali, kiedy nielitościwy los postawi ich wobec wysoce dramatycznego problemu, jaki na ich egzystencji wybije niezatarte piętno. Ojciec bowiem Piotra Thérade, były dyplomata, miał w swoim czasie krótki romans z matką Cécile. Ta ostatnia będzie potem prowadziła życie bez zarzutu. W chwili, kiedy prosząc o rękę jej córki, stanie przed nią ponownie jej dawny uwodziciel, czuje się jednak do głębi poruszoną. Thérade jako wytrawny Don Juan, odczuwa jej stan duchowy, wie, że jest ona gotowa do... *rechute!* Młodzi narzeczeni zrazu nie zdają

sobie sprawy ze stosunku, jaki łączy ich rodziców, jakkolwiek podświadomie wyczuwają, iż sytuacja nie jest zupełnie jasna. Aż przyjdzie chwila, w której Cécile, podsłuchawszy rozmowę pomiędzy dwojgiem dawnych kochanków, nie może mieć już żadnych wątpliwości co do ich stosunku. Wówczas wybucha dramat, bo Cécile pomimo pozorów nie jest „modern panną", zdaje sobie sprawę, iż małżeństwo pomiędzy nią a Pierre nie jest możliwe. Wyrzeka się więc swojej miłości i zrywa z narzeczonym. Ten jednak, nie mogąc przeboleć tego ciosu, organizuje swój rejd transatlantycki, szukając poniekąd zapomnienia, a może śmierci. Ze swojej wyprawy powietrznej też nie powróci, a Cécile odda się pracy na cele dobroczynne. Tak więc można powiedzieć, iż dzieci w powieści Pawła Bourget zapłaciły za winę rodziców, albo też, biorąc za punkt wyjścia tytuł innej powieści tegoż samego pisarza o wysokim poziomie moralnym, iż „*Nos actes nos suivent*"! (I.B.)

*

J e a n - L o u i s V a u d o y e r w „*Laure et Laurence*" *(Plon édit.)* porusza bardzo ciekawy pod względem psychologicznym temat. Przedstawia on bowiem życie Filipa Collerye, człowieka dojrzałego, który pomimo dostatku nie doznał szczęścia. Ożenił się coprawda; ale wkrótce potem rozszedł się z żoną, a synem z tego małżeństwa naogół zajmował się mało. I oto w tym okresie przejściowym życia, pomiędzy młodością kończącą się, a rozpoczynającym się okresem dojrzałości, Filip zaczyna pamięcią zwracać się do przeszłości i przeżywać intensywnie jej wspomnienia. Do najbardziej mu drogich należy postać Laury Moreux, towarzyszki lat dziecinnych. Laura jednak, podobnie jak Filip, weszła w związki małżeńskie, jest matką trojga dzieci, ale o dawnym towarzyszu zabaw bynajmniej nie zapomniała. Przeciwnie pragnęłaby nawiązać dawną znajomość. I dwoje tych ludzi spotyka się rzeczywiście po latach rozłąki w czasie „*croisière*" na Śródziemnem morzu. Wtedy jednak powstaje prawdziwy dramat. Filip bowiem, jakkolwiek z wielką przyjemnością spotyka Laurę, jednakże czuje, iż w sercu jego budzi się inne, a silne uczucie do Laurencji. Kim jest wszakże owa osiemnastoletnia, urocza panna? — Nikim innym jak córką Laury. Wówczas oczywiście w duszy Filipa powstaje walka pomiędzy uczuciem obowiązku a zmysłami. Zwycięży to pierwsze uczucie, ale biedny ojciec będzie jeszcze na inną bolesną wystawiony próbę. Syn bowiem jego, Roger zakocha się w Laurencji i poślubi ją. Filipowi nie pozostanie więc nic już innego, jak tylko wywnętrzyć się w swoim pamiętniku z przejść tych dramatycznych i zmarnowanego właściwie życia, gdyż w swoim czasie, nie poślubiając Laury, przeszedł obok szczęścia, jakie może teraz dzieci ich zrealizować potrafią. Powieść ta, napisana w wykwintnym stylu, posiada i takąż subtelność w przeprowadzeniu tego całego delikatnego i melancholijnego zarazem dramatu. (I. B.)

*

Wojna odbiła się ciężkim echem po Bretanji, zabierając jej wielu synów. Ten to okres opisuje z właściwym sobie talentem p. R e n é B a z i n w „*Magnificat*" *(Calmann Lévy édit.)*. W fermie starego wieśniaka Corentin Maguern pracują starcy, kobiety, dzieci. Syn najstarszy, Pol walczy w szeregach, drugi z rzędu, Gildas niebawem pójdzie w jego ślady. Robota jednak we fermie nie ustaje, aż tu przychodzi tragiczna wiadomość, że Pol został zabity pod Verdun, osierocając młodą żonę. Gildas ma teraz wyruszyć na front. Zanim jednak pożegna się z rodziną, rozprawi się najpierw z Anną, kuzynką swoją dorodną, jaka u jego rodziców mieszka i razem z nimi pracuje. Młodzi ludzie kochają się i właściwie „ludzkiej" przeszkody do zrealizowania ich szczęścia, zdawałoby się, nie ma. Istnieje natomiast przeszkoda innego rodzaju, albowiem Gildas od młodych lat uczuł w sobie powołanie na księdza. W chwili rozłąki jednak zdaje się w nim górę brać miłość ziemska. Przyjdą jednak ciężkie dni próby na polu walki, w których czasie będzie on także asystował przy śmierci młodego seminarysty. Wówczas w duszy Gildas'a odzywa się pod wpływem wypadków wojennych, całe dawne jego powołanie. Jak jednak postanowienie to zostanie przyjęte przez jego rodzinę we fermie Penmur? — Matka zeń zadowolona, ale ojciec przeciwny, bo w ten sposób zabraknie mu pomocy do ciężkiej pracy; Anna zaś, zrazu zbolała, zdaje sobie sprawę, iż skończyła się dla niej zawczasu jej młodość i że za mąż już nie wyjdzie. Kiedy jednak po raz pierwszy Gildas zawita do domu rodzinnego, zrazu pomiędzy nim a ojcem odczuwa się nieporozumienie, żal starego do syna, co jednak szybko ustąpi miejsca uczuciu rozrzewnienia, a nawet pewnej dumy. Wtedy zaś powoli i w sercu Anny budzi się uczucie chrześcijańskiej rezygnacji.

Talent p. René Bazin jest zbyt znany, by trzeba było go tutaj podkreślać. Czytelnik też z dużem zainteresowaniem odczytywać będzie te stronice, niezmiernie ciekawe, tak pod względem psychologicznym, jak pod względem opisów bretońskich krajobrazów i tamtejszego życia. (I. B.)

O F E N S Y W A

PO WASSERCUGU... WASSERMANN

W OSTATNICH czasach zaczyna się na Zachodzie Europy cokolwiek baczniej kontrolować i prześwietlać nie tylko supremacyjną gospodarkę międzynarodowej *Rnai* pansemickiej w dziedzinach twórczości literackiej, ale także strategję i taktykę genjalnie zorganizowanej konspiracji *(Cohn i Spira)*, narzucającej światu waloryzację całej literackiej produkcji we wszystkich narodach. Stosunki wyrobiły się już bowiem takie i hegemonja semitów doszła do tych granic absolutyzmu i bezceremonialności, że ostatecznie we wszystkich stolicach i centrach duchowych musiało nastąpić przebudzenie, otrzeźwienie i opór. W Italji Papini, Puccini, Piccoli, d'Amico, Ojetti: w Paryżu C. Mauclair, pani Rachilde i w pewnej mierze R. Rolland (mieszkający w Szwajcarji), jęli się tej samej mozolnej pracy demaskowania wspaniale i imponująco obmyślanego i przyprowadzonego *conquest* t. j. najścia żydów na literatury wszystkich narodów i zdobycia najważniejszych okopów. Romain Rollanda wliczamy do prekursorów tej odczyszczającej powietrze, regeneracyjnej akcji z tego powodu, że znakomity pisarz już przed wojną w swem „*Le Foire sur la Place*" „przepowiedział" (i to w czasach, gdy dopiero się zaczynała) inwazję tych elementów, które dziś faktycznie rządzą wszystkiemi rynkami i giełdami literackiemi, w swoich rękach dzierżąc nie tylko katedry krytyków, miesięczniki, pisma, teatry, fotele recenzentów, ale specjalnie dla swej hegemonji zorganizowawszy sieć t. zw. *Pen-Club*'ów, dziś zresztą już rwącą się i porozdzieraną.

Oto jak Romain Rolland scharakteryzował plastycznie i lapidarnie pierwsze szturmowe bojówki pansemityzmu w literaturze:

„Druga szkoła, nosząca miano „amoralizmu", była modniejsza, bardziej wyrafinowana, a od pierwszej różniła się głównie bogactwem formy. Wyrośli z życia stołecznego izraelici i zjudaizowani Francuzi wprowadzili bezduszne szablony uczucia, które są charakterystycznem znamieniem zdegenerowanego kosmopolityzmu. Synami, wstydzącymi się swych ojców, byli ci autorowie, zapierający się własnej rasy. Obdarłszy duszę ze wszystkiego, w co ją ubrało przez wieki życie narodowe, musieli sięgnąć po wartości moralne i intelektualne innych narodów. Zrobili z tego bigos i rozdawali go widzom na porcje. Prześcigali się, aby wytworzyć jakąś pianę z ubitych razem cnót i grzechów, zaprawiali cnotę wonią występku, występek wonią cnoty, powywracawszy przy tej sposobności do góry nogami wszelkie uświęcone stosunki wieku czy płci, stargawszy związki krwi, węzły uczuć i t. p.".

Po latach omal że trzydziestu znakomity krytyk francuski Camille Mauclair rozpoczyna na nowo akcję przeciw tej inwazji w książce „*La force de l'art vivant*", której dotychczas niestety nie przetłumaczono na język polski. Mauclair zwalcza hegemonję i terror i suggestje pansemityzmu głównie na terenach sztuki plastycznej, bezwzględnie wykazując merkantylizm, szacherstwo, oszustwo, fałszerstwo i szwindel cyniczny w narzucaniu sztucznych autorytetów i w lansowaniu podrabiaczy i tandeciarzy, którzy ze Wschodu opanowawszy Montparnasse w momencie osłabienia powojennego Francuzów, zagarnęli rządy Sztuki w swoje ręce.

Twardo i bezwzględnie zabiera się też do *clerców* z plemienia Erenburga świetny fejletonista emigracyjnej prasy rosyjskiej A. W. Kamienieckij:

„Co za zbytek, aż dwie kultury! Dwoje Bogów? Jakto umiecie służyć im jednocześnie, widocznie jesteście tym Faustem, w którym żyją dwie dusze. Takie paradoksy, jak dwie Ojczyzny, dwa jestestwa! Czy można polegać na tego rodzaju dualizmie, który przeciwny jest prawom przyrody? Czy w rezultacie te dwa pojęcia nie powinny się przetworzyć w jedno z dwojga?" „Jesteście jak ów „Iwan Bezimienny", nie jesteście jeszcze Rosjanami, a przestaliście być żydami. Ni to, ni owo! Coś w rodzaju ludzkich amfibij. Mieć się za naród żydowski i jednocześnie czuć się Rosjaninem jest absurd, bo psychologja to wyklucza, a i metafizycznie jest to niepodobieństwem. Tylko iluzorycznie można się mieć po połowie za żyda i Rosjanina, w samej zaś rzeczy jedno coś ma przewagę, jedno panuje nad drugiem i nakoniec raz trzeba poddać się jednemu Panu".

Ponieważ w Italji ostatnio też rozpanoszyli się tacy jak Pitigrilli (*recte:* Segre), Moravia, Pinkerle i Guido (*recte:* da Verona), tendencyjni demoralizatorzy społeczeństwa, przeto i tam zawiązał się ruch odporny a przeciw supremacji „*ebreacciów*" występują obecnie już stale i konsekwentnie Silvio d'Amico, Ugo Ojetti i Papini („*Il Pegaso*"), V. Piccoli, no i M. Puccini.

W Niemczech ruch przebudzenia się ambicyj rasowych, aryjskich i narodowych w stosunku do zbyt rozwielmożnionych literackich żydowskich asów, cierpiących na przerost „kompleksu nadwartościowości“ *(superiority complex)* jak to ostatnio świetnie określił pozujący na skrajnego filosemitę judofob G B. Shaw, ten ruch dosłownie nowej emancypacji rozpoczął się od zlikwidowania E. L. Cohna (Ludwiga).

Ostatnio wzięto się na ostro także do tego Wassermanna, cieszącego się i u nas w sferach inteligencji mieszczańskiej taką popularnością *(„Mauritius“)*, jaka za dawnych czasów była udziałem Orzeszkowej, Prusa, Żeromskiego, Reymonta. Dzisiaj polskich powieściopisarzy w Polsce nie czyta się omal wcale. Francuskich mało. Natomiast grube tomiska Kellermana czy Wassermanna leżą już na stołach i wiejskich dworków i księżowskich plebanij!

Otóż temu to Wassermannowi, beletryście, zresztą bardzo utalentowanemu i potwornie pracowitemu, udowodniono ostatnio plagjatowanie. Zarabia olbrzymie sumy, pisze po Wallace'owsku więc w pośpiechu zapomina się i do swoich dzieł dołącza całe strony „owoców lektury“. Z kolei w dwóch powieściach stwierdzono literacki eskamotaż. Literatka Marianne Thalman w *„Deutsches Volksthum“* udowodniła plagjatowania dla powieści *„Kaspar Hauser“*. Dla dłuższej zaś noweli p. t. „Złoto z Caxmalca“ wycofywał Wassermann całe ustępy z angielskiego, z Prescotta „Zdobycie Peru“, co znowu udowodnił prof. Arpad Steiner w amerykańskim: *„Journal of England and Germany“*. Specjalną zaś broszurę o tym defekcie Wassermanna napisał dr. Paul Englich (p. t. *„Plagiat! Plagiat!“* Berlin 1930). Ale Wassermann, zresztą słusznie może, temi oskarżeniami się nie zraża. Fabryka idzie, dając duże dywidendy, talent zdrów i silny, więc odwala rocznie po dwa, trzy tomy, tłumaczone potem pośpiesznie przez semitki na wszystkie języki, a przez semitów w recenzjach wychwalane w niebogłosy pomimo tego, że jest ta cała produkcja reportażem płytkim, miałkim, wulgarnie aktualnym, z ulicy i dla ulicy, dla mobu i półinteligentnego.

Ostatnio wziął Wassermann na warsztat Krzysztofa Kolumba. Temat międzynarodowy, interesujący i dla Anglosasów, dawno nie „obrabiany“, geszeft *prima sorta*. Ideowo zbliżony do tendencji „Złota z Caxamalca“. Ponieważ zdemaskowanie plagjatów Wassermanna wyszło z kół czysto niemieckich, więc w zirytowanym Wassermannie odezwał się *„Gott der Rache“*. W poprzednich dziełach Wassermann nie tylko nie zdradzał się ze swem żydostwem, ale ze względów taktycznych, pozując na objektywność i dla wciągnięcia niemieckiej „konsumpcji“, ryzykował nawet antysemickie dygresje i dawał figury negatywnych Semitów. To trwało dość długo, bo to zamaskowanie zyskało mu fawory czytelnictwa niemieckiego. Stwierdzenie plagjatów atoli rozbudziło w nim demonję antychrześcijańską. Don Kiszota Oceanów t. j. Kolumba sportretował już tylko stuprocentowy zaciekły, zajadły, dyszący furją do cywilizacji chrześćjańskiej pansemita. Ponieważ Kolumba miano nawet kanonizować, ponieważ Kolumb i jego drużyny zatknęły krzyż na ziemiach pogańskich, ponieważ eskapadę protegowała bądź co bądź królowa Izabella katolicka (ta sama, co przegnała żydów i Maurów z Hiszpanji) i ona na sfinansowanie wyprawy zastawiła klejnoty swoje, przeto berlińsko - żydowski beletrysta, egzagerując i egzaltując przekształca sobie Kolumba na jakiegoś głównego reprezentanta *Ecclesia militans*, na Krzyżowca czy Krzyżaka z ewangelją w jednej, a mieczem płomienistym w drugiej ręce i wali potworny trzechset-stronnicowy, sataniczny, bezecny, nikczemny, parszywy paszkwil, ociekający judaszowską, dławiącą nienawiścią. Z państw Azteków i Inkasów, zgęszczając barwy, robi jakieś *El Dorado*, jakiś *Chanaan*, jakiś raj na ziemi o oszałamiającej cywilizacji i dobrobycie, z najcudowniejszemi miastami, z przewspaniałą industrją i sztuką architektoniczną, z ludnością w najwyższym stopniu kulturalną, o moralności wprost anielskiej. Berliński żydowin załguje się jak opętany opierając się rzekomo na najautentyczniejszych źródłach. I w ten to słoneczny raj na ziemi wpadają „Krzyżacy“, Korsarze, zbrodniarze, złodzieje, rabusie hiszpańscy, portugalscy, włoscy ale wszystko przedewszyskiem nienawistni Chrześcijanie, Katolicy, „Inkwizycji“ posłuszni i wierni. A bandom tych „reakcjonistów“ i „nacjonalistów“ (hitlerowców?) przewodzi awanturnik, Korsarz, wywłoka, szarlatan, kłamca, tchórz, pochlebca, lizus, komedjant, włóczęga, niechluj, brudas, fanatyk, złodziej, brutal, chciwiec, mściwiec, intrygant, spekulant, miernota, nieuk, tępak, pętak, sadysta, masochista, szalbierz, fanatyk, chuligan, pogromszczyk... a to wszystko za to, że z krzyżem w ręku! Katolik! Chrześcijanin!

Wyście mnie żydowi genialnemu udowodnili kradzież literacką, no to ja wam za to z waszego aryjskiego herosa, z odkrywcy Ameryki, z bohatera nieustraszonego, zrobię pospolitego złodzieja i rabusia! Dam mu duszę czarną jak sadza, a w ręku Krzyż — wasze godło! Splugawię herosa cywilizacji śródziemnomorskiej tak, jakby go stu Włochów Portugałów i Hiszpanów obsmarować i zbeszcześcić nie potrafiło! Faworyta Izabelli, (co wygnała Sephardim) zdepczę w błocie i unurzam w gnoju mojej poetyckiej imaginacji. A wy to czytać będziecie zmuszeni, bo to wam narzuci i nakaże reklama moich, „naszych“ ludzi. Jestem już tak wkorzeniony w popularność (dzięki dwudziestoleciu meskinerji) jestem już taką *„Weltberumtheit“*, że moje dzieło, *standard work* mego żywota musi być tłumaczone na angielski, na hiszpański, na włoski, a ci wszyscy co tego Korsarza z Krzyżem dotychczas czcili i szanowali jako nieustraszonego żeglarza, ideowca, romantyka, Don Kiszota Oceanów, muszą uczuć do niego odrazę i muszę się powstydzić tego kultu. Odbronzowię wam Kolumba, może i on żyd? Oto mój rewanż za rewelacje Marianny Thalman, dr. P. Englicha i prof. Arpada Steinera!...

A teraz gdzie w takim właśnie doborze tematu tkwi motyw strategiczno-taktyczny?

Oto w tem, że ta sama inteligencja, ta sama elita intelektualna na obu półkulach dostaje w ręce równocześnie naprzykład dwie książki: monografję amerykańską, plugawiącą Abrahama Lincolna i francuską Victora Merica apologję rewolucyjnego łotra Marata... Albo: francuskie splugawienie bohaterskiej Charlotty Corday i równocześnie niemieckie (albo polskie) wybielenie Messaliny. Albo: Pierre Hampa: obronę i apoteozę Shylocka i znów po niemiecku odbronzowioną „naukowo“ Joannę d'Arc. A wszystko to w epoce „rehabilitacji“ Judasza pisali sobie Semici. I wszystko to dzięki międzynarodowej, solidarnej reklamie tłumaczone na różne języki. *Cui bono? Cui bono? Umwerthung aller Werthe*, przewaloryzowanie, giełdziarstwo, szwindel, szacher jak pisał Marx.

I tak samo teraz. Niby to tylko beletrystyka, pokarm duchowy lekki. Ale na tym samym stole, z tej samej bibljoteki wyciągnięte leżą sobie obok siebie: „Kolumb“ Wassermanna i alzackiego żyda, słynnego już pod pseud. A. Maurois: *„Disraeli“*. Pierwszy odmalowany na najczarniej, „odbronzowiony“, drugi wybielony, czysty, piękny, jasny, a w „rzeczywistej rzeczywistości“ jedna z najantypatyczniejszych, miejscami wprost odrażających postaci historycznych. Ale, że miał szczęście, że stał się właściwie twórcą *Empire*, więc kusiciel Maurois stawia go jako model dla rodaków francuskich.. może Blum? może Blum? może z Bluma być francuski lord Beaconsfield?...

Kolumb łotr, D'Izraeli „nad śnieg bielszy“, Arielowaty, Ormuzd...

Oto jaka jest strategja i taktyka dr. Arimanna *et Comps.* Oczerniać, pomniejszać i odbronzawiać olbrzymów aryjskich.

Przygodnie: wyolbrzymiać „naszych“.

ADOLF NOWACZYNSKI

NA MARGINESIE

Poseł sanacyjny Mackiewicz przypomniał sobie nieletniego mordercę Kowerdę i poświęcił artykuł w „Słowie“ wileńskiem temu mścicielowi starej Rosji. Nie utrzymał się jednak w sentymentalnym tonie i dodał retoryczne pytanie: gdzie są ci profesorowie uniwersytetów, którzy pisali protesty przeciw uwięzieniu gorszych od Kowerdy zbrodniarzy w Brześciu i czemu w imię ludzkości nie wystosują do władz pisma o uwolnienie mordercy Wojkowa? „W Brześciu — prawda — siedzieli ludzie dla państwa polskiego naprawdę niebezpieczni i szkodliwi“.

Pan Cat nie rozumie widocznie tego, co pisze:

1) Kowerda popełnił mordestwo, czyli zbrodnię, a więźniowie brzescy żadnej chyba zbrodni nie popełnili, skoro wypuszczono ich na wolność i przeciw niektórym umorzono wszelkie dochodzenia.

2) Kowerda dostał się do więzienia na podstawie śledztwa przeprowadzonego, rozprawy sądowej i prawomocnego wyroku.

3) Kowerda siedzi we właściwem więzieniu i stosuje się do niego pospolity regulamin.

4) Nie słychać, jakoby ponad obowiązujący powszechnie regulamin więzienny stosowano do Kowerdy jakieś wyjątkowe zarządzenia.

Kto szuka różnicy między kulturą zachodnią i wschodnią, to ma tutaj typowy przykład umysłowości wschodniej. Oto roztkliwianie się nad losem skazanego prawnie Kowerdy przy równoczesnem wielbieniu sprawy Brzeskiej — jest najtypowiej wschodnie.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.